Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 29 (1869) ● 17–23 lipca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl c41309f7b5

WOJNA DOMOWA

Przemysław Czarnek wychylił się tak daleko w prawo, że nawet prezes uznał, iż nieco przegiął. Co jest skądinąd oznaką braku konsekwencji: w końcu po to właśnie namaścił Przemasa na premiera. (No chyba że chodziło o jego zwierzęcy magnetyzm). Czarnek orzekł otóż, że polskie władze winny „zmusić Unię Europejską do tego, żeby zaprzestać na ten moment finansowania w jakikolwiek sposób zbrojeń na Ukrainie i odbudowy Ukrainy, dopóki Ukraina nie wejdzie na ścieżkę wartości proludzkich". Proludzkość – lub antyludzkość – w oczach Czarnka nie zależy np. od tego, czy młodzi ludzie są porywani na ulicach i na siłę wcielani do wojska, tylko od tego, czy Ukraina wyrazi należną samokrytykę za ludobójstwo sprzed 80 lat. Prezes odburknął na Iksie, że PiS „stoi i zawsze stało na stanowisku, iż pomoc militarna, realizowana także przez UE na rzecz Ukrainy, jest bezwzględnie potrzebna" – co jest niejaką modyfikacją stanowiska, tyleż wobec Ukrainy, co UE.

Zanim jednak wewnętrzna opozycja antyprzemasowa zdążyła się ucieszyć, prezes wydał z siebie ultimatum: wszyscy członkowie partii mają siedem dni na wystąpienie z wszelkich organizacji politycznych, ze szczególnym uwzględnieniem stowarzyszeń „Rozwój Plus" Morawieckiego oraz „Po pierwsze Polska" Sasina. A jak nie – to na ryj. Na konferencji w sprawie ultimatum wystąpiła antymorawiecka frakcja maślarzy z Sasinem i Bocheńskim, która złożyła deklarację lojalności. Bocheński: „Mamy głęboką nadzieję, że decyzja pana prezesa Kaczyńskiego i wszystkich dzisiaj zebranych na prezydium Komitetu Politycznego zostanie wykonana przez wszystkich członków Prawa i Sprawiedliwości, dlatego że naszym podstawowym zadaniem jest jedność, jest determinacja w odsunięcia Donalda Tuska od władzy i zjednoczenie się wokół naszego kandydata na premiera, pana profesora Przemysława Czarnka, który zgłasza rewelacyjne pomysły programowe, które będą służyły bezpieczeństwu, rozwojowi i pomyślności polskich rodzin". Łubudubu…

Ci wszyscy politycy demokratycznej Rzeczypospolitej z obu stron barykady, którzy wzięli udział w licytacji na to, kto lepiej „wygasi pomoc" dla uchodźców, zaczynają dostrzegać to, co Gomułka zrozumiał w 1968 r. Upiory ksenofobii łatwo u nas obudzić, ale wsadzić tego dżina z powrotem do butelki – trochę trudniej. Informacje o napadach słownych i fizycznych na Ukraińców dobiegają z miast, miasteczek i wsi, jak piękna nasza Polska cała. Władza się przejęła. A najbardziej marszałek Czarzasty, który rozpoczął cotygodniową konferencję prasową od odczytania listy antyukraińskich wybryków. Najciekawszy był pierwszy: „7 maja na Moście Świętokrzyskim w Warszawie 16-letni Artiom i dwaj jego koledzy zostali zaatakowani przez grupę nastolatków. Napastnicy krzyczeli: »Wypierdalać do Ukrainy«". Nie wiemy, jak Państwo, ale my jesteśmy gotowi się założyć, że oni krzyczeli: „Wypierdalać na Ukrainę". Sprawcy ksenofobicznych incydentów rzadko kiedy przestrzegają językowej poprawności politycznej.

A skoro już jesteśmy przy przyjaźni polsko-ukraińskiej: Onet donosi, że wykluczenie Polski z europejskiej koalicji na rzecz budowy wspólnej obrony antyrakietowej to efekt starań Ukrainy. Premier bagatelizuje, że „mamy do czynienia z koalicją o charakterze przemysłowym" i nasza nieobecność wynika jedynie z odmiennego profilu produkcji polskiego przemysłu zbrojeniowego. Nieco inny ton przebija z oświadczenia twórców koalicji: „My, przywódcy Danii, Francji, Niemiec, Włoch, Norwegii, Hiszpanii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Holandii i Ukrainy, uznajemy rosnące zagrożenie ze strony pocisków balistycznych, a także coraz większe znaczenie zdolności obronnych dla bezpieczeństwa kontynentu europejskiego i ogłaszamy dzisiaj rozpoczęcie prac nad utworzeniem czysto obronnej Antybalistycznej Koalicji Rakietowej"… Jak coś się zaczyna od „My, przywódcy, uznajemy i ogłaszamy" to rzadko jest stricte przemysłowe. Ale doceniamy, że Donald trzyma fason.

Sąd Okręgowy w Warszawie odmówił wydania europejskiego nakazu aresztowania wobec Zbigniewa Ziobry. Albowiem – tłumaczą prawnicy – art. 607a k.p.k. wyraźnie mówi, że ENA może być wydany „w razie podejrzenia, że osoba ścigana może przebywać na terytorium państwa członkowskiego UE". Przewodniczącego komisji regulaminowej Jarosława Urbaniaka to nie przekonuje: „Jako obywatel jestem zdruzgotany, że można było podjąć taką decyzję i w ten sposób uczynić przyjemność i grzeczność osobie, która popełniła tak poważnie przestępstwa" – ogłosił. Donald Tusk nie jest zdruzgotany, ale zadowolony też nie był: „To jest irytujące, że ta koordynacja pomiędzy prokuratorem a sądami nie wygląda, szczerze powiedziawszy, dobrze" – ogłosił. I dodał: „W tych sprawach, powiedziałbym: formalnych, ginie to, co jest najważniejsze, to znaczy skuteczność państwa polskiego w ściganiu domniemanych przestępców". Usłyszeliśmy też, że szef rządu „nie chce tutaj ubolewać nad stanem wymiaru sprawiedliwości, a raczej nad pracą niektórych jego przedstawicieli w prokuraturze czy w sądownictwie, ale mamy naprawdę sporo do zrobienia". Nieco niepokojące słowa w ustach budowniczych państwa prawa.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Lipiec 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Świętej Amandiny

Twój Ruch, będący (chce czy nie chce) moim Ruchem, zrobił błąd, proponując zniesienie klauzuli sumienia. Przeciwnie – należy ją rozciągnąć na wszystkie zawody. Sędzia powinien móc uchylić się od wydania wyroku w sprawie, w której prawo każe karać, a rozum się wzdraga. Jubiler, któremu klient przyniósł złote dzieło sztuki, żeby przerobił na złom. Architekt, u którego bogacz zamawia gotycki zamek z dorycką kolumnadą i secesyjnymi witrażami. Dentystka niemająca sumienia dręczyć pacjenta borowaniem w zębie. Minister finansów zmuszany do żądania od samorządów opodatkowania świeżego powietrza. Katecheta odmawiający kłamania uczniom, że biblijna wersja stworzenia świata jest prawdziwa itd., itd., itd. Ponieważ jednak nie wiadomo, co to jest sumienie, czy istnieje i gdzie się mieści, nazwałbym to raczej klauzulą rozumu. Wiadomo, gdzie on się mieści, a zdrowy rozum występuje rzadziej niż sumienie.



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Ulricha

Aferę prof. Chazana powinno zakończyć proste rozporządzenie ministra Arłukowicza:

1) Sumienie nie może być zbiorowe.

2) Wszystkie szpitale współfinansowane przez NFZ, a mające oddział ginekologiczny i położniczy, muszą zawrzeć umowę z lekarzem, który pisemnie oświadczy, że wykonywać będzie zgodne z prawem aborcje.

3) Jeżeli żona skutecznie oskarży męża o gwałt, czyli wymuszenie seksu, np. przez wykorzystanie finansowej zależności, albo o przekroczenie granic przyzwolenia, np. przez niewłożenie prezerwatywy, to płód powstały z takiego stosunku jest rezultatem przestępstwa, zatem zgodnie z ustawą może być usunięty.

Dziennikarzy tropicielskich zachęcam zaś do wyławiania ginekologów na posadach, którzy powołują się na klauzulę sumienia. Stosując prowokację, sprawdzajmy, czy i ile biorą za skrobankę w swoich prywatnych gabinetach.

Świętego Chrystiana

Janusz Korwin-Mikke, nieposzlakowany dżentelmen, lord właściwie, na salonach dyplomatycznych dał w mordę drobnemu, kruchemu ministrowi Boniemu w odpowiedzi na dzień dobry. Musiałem więc wynająć ochronę osobistą dla Azora. Mój pudel Azor, orderonosiciel, włożył muszkę i na YouTubie oraz w portalu „NIE" parodiował Korwin-Mikkego przemawiającego w Parlamencie Europejskim. Azor tak dobrze imitował Korwina, że dla realizmu zrobił kupę. Był to sto sześćdziesiąty nasz film i po raz pierwszy liczba oburzonych była większa niż aprobujących. Internauci kochają Korwin-Mikkego. Popierają go nawet Czytelnicy i amatorzy „NIE". Paranoja! Korwinizm-mikkizm stanowi teraz największe zagrożenie dla kraju, bo po wyborach tylko on może zapewnić Kaczyńskiemu większość w sejmie. Przez Korwina nasze „NIE" musi jeszcze silniej niż zwykło popierać Tuska, a prorządowość to samobójstwo pisma na „NIE". Udusi mnie muszka Korwina durnego jak przedwojenny kapeć. Teraz ciekawe: czy mordobicie doda czy ujmie Nowej Prawicy w sondażach?

W latach 70. Janusz Korwin-Mikke przynosił mi do „Polityki" swoje teksty krytykujące PRL. Czasem szły, częściej nie. Któryś maszynopis czemuś zaniepokoił Rakowskiego i swoimi kanałami zaczerpnął on w MSW informacji o JKM. Odpowiedziano mu: możecie faceta drukować. To nieszkodliwy, kieszonkowy opozycjonista.

Świętego Oliwiera

Chyba sam episkopat zrozumiał, że stanowi zgromadzenie sklerotycznych kretynów. Oko zostało przymknięte. Inni księża nie występują w TV w swej stałej roli starej zacinającej się płyty mówiącej w kółko to samo. Kardynał Nycz wynajął sobie do TVN rzecznika, młodego, bystrego znawcę prawa. Tamże wystąpił poplecznik Kościoła wiceminister sprawiedliwości oblat Królikowski. Znakomity prawnik ujmujący wdziękiem. Biada narodowi, bo Bóg chrześcijan przybrał ludzką maskę. Pudel Azor też miał wystąpić jako rzecznik episkopatu, ale zapadł na depresję. Weekend spędzała u nas suczka Lola, romantyczna ruda domina o głębokim głosie i spojrzeniu dziewicy. Azor tęskni za nią, choć Lola nie jest damą z towarzystwa. Raczej reprezentuje suczy półświatek.

Św. Oliwiera (cd.)

Mieliśmy dwa z rzędu śmiertelne wypadki lotnicze, a Macierewicz milczy. Na pewno Niemcy go przekupili, skoro nie widzi, że ludzie Tuska i Putina zepsuli silnik w jednym samolocie i zmusili do zderzenia dwa inne. Teraz strach latać nawet na kurwy.

Świętego Benoita

Postanowiłem sprzedać mojego nowego wielkiego Jaguara, żeby się nie wyróżniać jako dorobkiewicz, bo w końcu każde auto wozi człowieka tak samo. Chcieli dać za niego tak mało przy tak wielkim podatku, iż uznałem, że tak tanie auto już nie robi ze mnie dupka. Podobnie spada wartość moich felietonów.

Św. Benoita (cd.)

Gdybym był młody i nie byłbym jeszcze w rękach Daniszewskiej, zerżnąłbym chętnie jakąś dziewczynę. Wypatruję więc jej przez okno Jaguara, po knajpach, na plaży i wciąż nie widzę tej, którą bym zerżnął, gdybym jeszcze mógł. Może taka nie istnieje? Szedłem w tej sprawie do seksuologa, ale po namyśle skręciłem do okulisty.

Starość ma zresztą różne przykre objawy. Jak wiadomo, młody mecenas Roman Giertych wypija w biurze na dzień dobry 0,75 litra wódki. Ja na kolacji w hotelu Sheraton po niespełna pół litrze uniosłem kieliszek, mówiąc po staropolsku do moich gości: „Chluśniem, bo uśniem" i chlusnąłem daniami na srebra i kryształy. Smacznego.

Świętego Joela

„Rzeczpospolita" ujawnia: pogrzeb generała Jaruzelskiego kosztował kancelarię Komorowskiego 10 752 zł. Zdaniem gazety strasznie dużo. A pogrzeb Lecha Kaczyńskiego? A pogrzeb londyńskiego nibyprezydenta Kaczorowskiego? Główne wydatki na pochówek Generała spowodowała prawicowa dzicz protestantów pogrzebowych, których musiało pilnować kilkuset policjantów. Nazwa „Rzeczpospolita" nie jest stosowna dla filii „Super Expressu".

Świętej Henryki

Wielkie absurdy wynikają z dysproporcji cen. TVN 24 podała, że jedna izraelska rakieta zestrzeliwująca rakietę Hamasu kosztuje kilkadziesiąt milionów dolarów. „Wyborcza" informowała, iż jeden szpieg amerykański w Berlinie kosztuje 25 tys. dolarów. Czyli za jedną rakietę jej sponsor – USA – mogłyby kupić w Niemczech 1000 do 2000 szpiegów. Jedna rakieta z Gazy, doleciawszy, mogłaby zabić kilkadziesiąt osób. Gdyby zamiast ich chronić, dać im po milionie dolarów, chętnie wyjadą na Riwierę. Nie wiadomo jednak, kogo by zabito, więc komu płacić, ale to można załatwić losowaniem. 58 lat temu w czasie agresji na Kanał Sueski Izraela, Francji i Anglii Egipcjanie strzelali do mnie ze strefy Gazy, ale kula karabinowa to koszt paru złotych, a tak samo się nie żyje, jak po rakiecie za miliony.

❑



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Bombowce podwodne

Wynalazek z niewidzialnym okrętem podwodnym (Robert Jaruga, „Orka w worku", „NIE", nr 28/2026 – red.) świetnie się komponuje z podobnym bombowcem konstrukcji Miła Minderbindera zaprezentowanym w „Paragrafie 22 bis" J. Hellera. Takiego uzbrojenia nam potrzeba. A te machloje przy zakupie podwodniaków to lustrzane odbicie zakupu onego bombowca. Kamysz też czytał tę książkę? Kurde, kto to wszystko spłaci? Związek Radziecki padł w wyścigu zbrojeń i nic to nas nie nauczyło.

Ryszard Jankowski, Police

Śmierć lub utrudnienia

Nawiązując do ostatniej rozmowy Szanownej Pani Redaktor Naczelnej na kanale „Wbrew Cenzurze", mam następujące uwagi odnośnie kary śmierci. Jest ona niewątpliwie głęboko niemoralna i zupełnie nieskuteczna, ponieważ nie naprawia jakiegokolwiek zła, rodząc nowe. Godny rozważenia może być natomiast ewentualny efekt odstraszający tej kary (...). Dla osiągnięcia tego efektu wystarczyłoby (...) przekonanie społeczeństwa, w tym potencjalnych przestępców, że karę śmierci się wykonuje. Nie byłoby zatem konieczne jej rzeczywiste wykonywanie. Takie gigantyczne oszustwo niewątpliwie oburzyłoby prawicowca, ale dla lewicowca byłoby chyba do przyjęcia jako ratujące życie. Problemem byłoby oczywiście, co dalej z takim (...) skazanym; prawda nie mogłaby być (...) ujawniona (...); musiałby do końca życia pozostawać pod ścisłą kontrolą i mieć zmienioną tożsamość. Należałoby więc chyba dać mu wybór – rzeczywista kara śmierci czy pozorna, ale powodująca poważne „utrudnienia" w dalszej egzystencji. Niewykluczone, że opisane oszustwa już są praktykowane, zwłaszcza w tak postępowym i nowoczesnym państwie jak Chiny (w USA by na to nie wpadli).

Grzegorz Ruchlewicz

eprasa.pl c41309f7b5

Dobrze jest, gdy rządzą komuniści

Nauki z Grazu

W czerwcu Komunistyczna Partia Austrii – KPÖ – wygrała wybory w Grazu, drugim co do wielkości mieście Austrii. Nie w uczelnianym kampusie czy niszowej ankiecie lewicowego portalu, tylko w normalnej, dużej, europejskiej metropolii. Takiej z tramwajami, czynszami, migrantami i ludźmi, którzy rano nie czytają Marksa, tylko patrzą, jak godnie i spokojnie dożyć do końca miesiąca.

Burmistrzynią Grazu jest Elke Kahr z KPÖ – komunistka.

Można przeczytać to zdanie jeszcze raz i nic się nie zepsuje. Egzorcyzmy zbędne. Komunistka rządzi drugim miastem Austrii. Co więcej, komuniści rządzą tam od 2021 r., a w ostatnich wyborach nie zostali za to ukarani, tylko dostali jeszcze większe poparcie. Wyszło więc „coś straszniejszego" niż zakazany symbol graficzny: komunistyczna skuteczność. A tego nikt nie zakazał.

Tytuł tego tekstu nie jest moją prowokacją – choć żałuję, że to nie ja go wymyśliłam. To cytat z wypowiedzi Claudii Klimt-Weithaler, działaczki KPÖ z Grazu, po zwycięstwie partii w wyborach. W rozmowie z austriacką telewizją ORF mówiła, że wynik pokazuje zadowolenie mieszkańców i że „dobrze jest, gdy komunistki i komuniści rządzą".

W Polsce takie zdanie działa jak zapalniczka przy kanistrze. Prawica natychmiast widzi gułag, liberałowie kolejkę po ocet, a część lewicy zaczyna nerwowo tłumaczyć, że oczywiście ona nie taka, ona nowoczesna, europejska, progresywna, rozumna.

Tymczasem w Grazu ludzie najwyraźniej uznali, że mniej ich interesuje, czy ktoś straszy nazwą „komuniści", a bardziej, czy pomaga im żyć.

Czerwony goździk w prawicowej dżungli

Żeby zrozumieć, co się stało, trzeba spojrzeć na austriacką mapę polityczną. ÖVP, czyli Austriacka Partia Ludowa, to chadecja i centroprawica – elegancki konserwatywny establishment. SPÖ, Socjaldemokratyczna Partia Austrii, to standardowa socjaldemokracja, dawniej wielka, dziś często zajęta wspominaniem, że była wielka – coś jak millerowskie SLD. FPÖ, Wolnościowa Partia Austrii, to prawicowy populizm i nacjonalizm, partia od „obcej zarazy", „porządku" „ziomali" i politycznego szczucia podawanego jako troska o zwykłych ludzi. NEOS – to liberałowie: cyfryzacja, przedsiębiorczość, sprawne państwo i święta wiara, że jak administracja będzie bardziej jak aplikacja, to kapitalizm będzie smakował jak jajko niespodzianka. Są jeszcze Zieloni…

Austria nie jest żadną czerwoną republiką – wręcz przeciwnie. Przez dziesięciolecia kręciła się wokół kompromisu ÖVP i SPÖ: chadecji, socjaldemokracji, państwa dobrobytu, związków zawodowych, izb gospodarczych i porządnego austriackiego zamiatania konfliktu klasowego pod



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

gruby dywan. Potem, jak wszędzie, przyszły neoliberalne mądrości: państwo ma być tańsze, rynek wolny, człowiek elastyczniejszy, ochrona zdrowia bardziej prywatna, a mieszkanie droższe.

Dziś Austria jest krajem, w którym bardzo mocna jest FPÖ (choć nie rządzi), czyli prawicowy populizm. Styrią – czyli krajem związkowym, którego stolicą jest Graz – rządzą FPÖ i ÖVP: populiści z chadeckimi konserwatystami. I właśnie w tej Styrii największe miasto wybrało komunistów. Bo tam zauważono, że polityka miejska powinna służyć ludziom, a nie deweloperom, bankom, rynkowi i karierom partyjnych notabli. Graz pokazuje, że politykę miejską można prowadzić w interesie człowieka – czyli także lokatora.

Polska szkoła niemożności

W Polsce mieszkanie od 30 lat jest problemem niemożliwym do rozwiązania. Najpierw młody człowiek ma uwierzyć w rynek. Potem jeśli go stać, wziąć kredyt. Potem spłacać go tak długo, aż młodość minie, dzieci dorosną, a zdrowie wysiądzie. Jeśli nie ma zdolności kredytowej, może wynajmować – czyli płacić cudzy kredyt i dziękować, kiedy właściciel nie potroi mu czynszu, bo „takie są ceny". Polska polityka mieszkaniowa to kabaret, w którym PiS obiecywał mieszkania, Platforma obiecuje kredyt, liberałowie wierzą w boskie rozmnożenie podaży albo pomagają bogu, pompując kasę w deweloperów, samorządy sprzedają publiczne grunty, krezusi kupują mieszkania jak amerykańskie obligacje, a deweloperzy płaczą w mediach, że gdyby tylko im nie przeszkadzać, to budowaliby tanio i pięknie. Prawie się człowiek wzrusza. Deweloper z liberałem są jak Matka Teresa z marżą.

Warszawa Rafała Trzaskowskiego jest także imponująco piękna jak folder Szpitala Południowego. Jest też, jak on, świetnym symbolem tej polskiej choroby: europejska, uśmiechnięta, progresywna w dekoracjach i na zdjęciu, ale mieszkaniowo to miasto, w którym mniej zamożny człowiek może co najwyżej podziwiać z chodnika taras na dachu apartamentowca. PiS z kolei przez lata urządzał narodowy teatr socjalny: dużo mówił o rodzinach, dzieciach i godności, a gdy przychodziło do mieszkania, kończyło się jak zwykle – wielkim planem, małym efektem i konferencją prasową. Konfederacja spod znaku Sławomira Mentzena dorzuca do tego stary numer dla małych umysłów: mniej państwa, mniej podatków, więcej rynku. Czyli dla lokatora mniej praw, dla bogatszego więcej okazji, a dla większości młodych – wolność spania u rodziców.

Na tym tle Graz brzmi jak herezja. Komuniści mówią tam: mieszkanie nie jest produktem ani luksusem. Miasto nie jest planszą Monopoly. Lokator czynszówki to nie przeszkoda w inwestycji. Czynsz i cena mieszkań, stan ochrony zdrowia i opieki społecznej to nie naturalna katastrofa pogodowa, tylko konkretny efekt polityki, która może być inna. To działa.

Co robi KPÖ?

KPÖ w Grazu wygrała nie dlatego, że urządziła ludziom seminarium z marksizmu. Wygrała, bo od lat robiła politykę tam, gdzie klasowy ucisk przychodzi w kopercie z rachunkami. Jej główne kierunki są proste: mieszkalnictwo publiczne, ochrona lokatorów, kontrola czynszów w zasobie miejskim, pomoc przy kaucjach, poradnictwo mieszkaniowe, przeciwdziałanie eksmisjom, rozbudowa mieszkań komunalnych i działający telefon do urzędu, który ktoś odbiera, słucha i jak trzeba – działa. Do tego dochodzą usługi publiczne bez prywatyzacyjnego bełkotu. Transport publiczny, opieka nad ludźmi z niepełnosprawnościami, ochrona zdrowia, pomoc społeczna, wsparcie energetyczne, polityka wsparcia dla seniorów, przeciwdziałanie bezdomności. Miasto jako wspólna infrastruktura życia, a nie markowy produkt do sprzedania inwestorom.

Jest też styl. Radni KPÖ od lat oddają część swoich wynagrodzeń na pomoc potrzebującym. Oczywiście od samego gestu nie zbuduje się mieszkań ani tramwajów. Ale patrząc z perspektywy kraju, w którym polityk i biznesmen po tygodniu władzy nabiera tonu właściciela folwarku, a lekarz-radny rządzącej partii zarabia miliony i ustawia szybką ścieżkę na SOR-ze dla swoich – taki gest nabiera szczególnego znaczenia. Mówi ludziom: nie przyszliśmy tu po dietę, gabinet i publiczną kasę. I ludzie – co za niespodzianka – odróżniają to od marketingu.

KPÖ ma także drugi plan programowy, który w Polsce natychmiast wywołałby pianę u zawodowych obrońców cywilizacji. Jest antyrasistowska i proimigrancka. Popiera prawa kobiet, realny dostęp do aborcji i antykoncepcji. Broni osób LGBT, w tym osób trans. Sprzeciwia się terapiom konwersyjnym. Jest antymilitarystyczna. Potępia rosyjską agresję na Ukrainę, ale nie chce robić z wojny religii zbrojeń. W sprawie Gazy mówi o prawach Palestyńczyków i zbrodniach Izraela, potępiając zarazem terror Hamasu.

Tyle że w Grazu komuniści nie zaczynają od moralnego kazania. Nie mówią jak polskie libki: sprawdźmy najpierw, czy jesteś wystarczająco postępowy. Mówią: czy masz gdzie mieszkać? Czy stać cię na czynsz? Czy autobus dojeżdża? Czy twoje dziecko ma opiekę? Czy miasto jeszcze jest twoje? A potem dopiero dodaje: skoro miasto jest dla ludzi, to dla wszystkich ludzi – także tych, którym prawica przykleja etykietę „problem".

To jest lekcja dla polskiej lewicy. Lewicowość trzeba przetłumaczyć z języka paneli, apeli, stanowisk i akademickiego wzruszenia na język rachunku za mieszkanie i poczucia bezpieczeństwa codziennego funkcjonowania. Wtedy nagle okazuje się, że człowiek, który nie zna słowa „intersekcjonalność", doskonale rozumie słowa „moje mieszkanie", „moje miasto", „moje życie".

Prawica szczeka, czynsz gryzie

Polska prawica żyje z tego, że zawsze potrafi wskazać wroga biedniejszemu człowiekowi, byle nigdy nie był nim bogatszy człowiek. Winna jest migrantka, feministka, osoba LGBT, Unia, Niemiec, Ukrainiec, uchodźca, nauczycielka, ekolog albo cyklista. Winny nigdy nie jest bank ani właściciel stu mieszkań, ani firma, która zarabia na publicznej bezradności, ani „przedsiębiorca" dopisujący do kosztu firmy całą swą prywatę. Bo nigdy winny nie jest system. A przecież system tworzy warunki życia.

Liberalne centrum ma inną metodę. Ono nie szczuje tak prymitywnie. Ono tłumaczy, że problem jest złożony, trzeba analiz, mamy budżetowe ograniczenia i procedury. Ale jak się okazuje – najpierw człowiek myśli, że to on sam nie daje rady, potem jednak odkrywa, że rady nie daje system, że to system jest jego wrogiem.

Graz nie jest cudownym miejscem z bajki. Ma długi, konflikty, prawicowy rząd Styrii nad głową. Ale właśnie dlatego jest ciekawy. KPÖ nie obiecała, że jednym dekretem przerobi kapitalizm na szczęśliwą wspólnotę. Pokazała coś skromniejszego i groźniejszego dla systemu: można rządzić miastem tak, aby człowiek poczuł, że nie jest kosztem ubocznym „rozwoju". Pokazała, że można.

Najbardziej niebezpieczne w komunistach z Grazu nie jest słowo „komuniści". Najbardziej niebezpieczne jest to, że są użyteczni. Prawica może straszyć Stalinem, liberałowie mogą krzywić się na radykalizm, socjaldemokracja może udawać, że też zawsze chciała być blisko ludzi, ale ludzie ich nie rozumieli. Tylko że w Grazu ludzie najwyraźniej sprawdzili praktykę: kto pomógł przy czynszu? Kto bronił mieszkań komunalnych? Kto nie oddawał miasta deweloperom? Kto był dostępny nie tylko w kampanii? Kto nie traktował biedniejszego mieszkańca jak problemu estetycznego? I wyszło im, że KPÖ. Można? Można.

Dobrze jest, gdy komuniści rządzą – jeśli pamiętają, po co i dla kogo jest miasto. Nie po to, żeby kapitał miał gdzie parkować pieniądze. Nie po to, żeby prezydent miasta miał zdjęcie z inwestorem. Miasto jest po to, żeby ludzie mieli gdzie mieszkać, jak dojechać, gdzie się leczyć, gdzie posłać dziecko do szkoły, gdzie się zestarzeć i gdzie nie bać się listu z podwyżką czynszu lub kredytowej raty.

Graz jest dziś nieznośny, bo psuje wygodną bajkę. Pokazuje, że lewica nie musi być dodatkiem do liberałów, sumieniem Tuska, kumpelą Trzaskowskiego ani alibi dla prawicowej władzy. Może być władzą. Może wygrywać. Może robić rzeczy, które ludzie czują nie w deklaracji, tylko w portfelu i na poziomie swojej godności.

I dlatego zdanie Claudii Klimt-Weithaler „dobrze jest, gdy komunistki i komuniści rządzą" brzmi tak prowokacyjnie. Bo to partia komunistyczna. Komunistyczna, ale nie ta sama, która komunistami się tylko nazywała; nie ci ludzie, którzy wprowadzali autorytarny państwowy reżim, nie zbrodniczy staliniści, ale ci, dla których jakość życia jest największą wartością i celem działania. A to dzieje się tylko wtedy, gdy robią dokładnie to, czego polska polityka boi się najbardziej: stają po stronie mieszkańca i człowieka – przeciw spekulacji, „świętej własności" i cudzej pazerności. Wtedy naprawdę dobrze jest, gdy rządzą.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl c41309f7b5

GADMAN

Psuje się od...

W Polsce dzieci znajduje się w kapuście. Nowych polityków – w partyjnych młodzieżówkach.

O partyjnych młodzieżówkach mówi się teraz w polskich mediach tylko źle i bardzo źle. Wulkany hejtu wywołał Dawid Kacprzyk. Świetnie zarabiający młody lekarz, dzielnicowy radny w warszawskim Ursusie i lider młodzieżówki Koalicji Obywatelskiej. Do niedawna mistrz lansu i dojenia budżetowych pieniędzy. Teraz jawi się jako medialna, pazerna twarz partii premiera Tuska. Patopolityk.

Kac po Kacprzyku

Polityczną młodzież najbardziej krytykuje polityczna starszyzna. Jacek Gądek, dobrze poinformowany dziennikarz, zbiera w „Newsweeku" takie opinie:

„Ci, co przychodzą do młodzieżówek, to często szemrane typy" – tak mówi działacz PiS, anonimowo rzecz jasna. „Tam sodóweczka odbija. Proszę spojrzeć na Dawida Kacprzyka" – to głos polityka KO, też anonimowy. „W młodzieżówkach były dobre imprezy, dużo przelotnych miłości i trochę ciąż" – wzdycha nostalgicznie dorosły wiekiem polityk PiS. „Działacze młodzieżowi naoglądali się „House of Cards" i myślą, że tak wygląda polityka" – wzdycha krytycznie polityk KO.

Starzy politycy z KO i PiS twierdzą, że teraz młodzi ludzie do polityki „przychodzą ze względów merkantylnych". I tu elity dwóch wojujących politycznych plemion są wyjątkowo zgodne. Oczywiście można ponarzekać na bezideowość liderów młodzieżówek. Problem w tym, że w praktyce

liderzy polskich partii politycznych nie wymagają szczególnej ideowości od swego młodzieżowego zaplecza. Partyjna młodzież potrzebna jest starszyźnie zwykle podczas kampanii wyborczych.

Wtedy podczas uroczystych konwencji, konwentykli i gospodarskich wizyt starzy partyjni liderzy ustawiają się do kamer i obiektywów fotoaparatów. Wtedy każdy stary lider musi mieć z plecami rząd swojej młodzieży. Nie muszą oni wyglądać jak ideowcy albo mózgowcy. Muszą być przystojni, dobrze wypadać w kamerze. Powabne powinny być też kobiety. Bo stary polski partyjny przesąd głosi, że partia, wokół której gromadzą się młode, atrakcyjne kobiety, wchodzi na ścieżkę wyborczego wzrostu. Bo takie kobiety ponoć instynktownie wyczuwają władzę, jaka na taką partię czeka. A „władza to najskuteczniejszy afrodyzjak" – nieraz to od polityków wszystkich opcji słyszałem.

Starzy liderzy potrzebują też innej pomocy młodych. Mogą być atrakcyjnymi konferansjerami podczas partyjnych mitingów. Powabnie i dowcipnie zapowiadać występy partyjnej starszyzny. Mają też młodzi wieszać banery i plakaty reklamujące starych liderów. Oklaskiwać ich wypowiedzi podczas spotkań z wyborami. Buczeć i sarkać, kiedy ktoś krytykuje ich lidera. Zadawać przygotowane wcześniej pytania i wyrażać entuzjazm po uzyskaniu odpowiedzi ich lidera. Mają relacjonować na żywo takie spotkania w internecie. Jako lokalni wyborcy, nie partyjni aktywiści.

W zamian liderzy młodzieżówek dostępują zaszczytu wpisania ich na partyjne listy wyborcze. Zwykle na miejsca nie gwarantujące im zdobycia mandatu parlamentarzysty lub radnego. W żargonie partyjnym takie osoby zwane są jajami. Bo one, jak męskie jądra, choć uczestniczą w stosunku wyborczym, to do parlamentów i rad faktycznie nie wchodzą. Zdarza się jednak, że skazane na wypełnianie list wyborczych młode „jaja" zyskują więcej głosów niż wyżej plasowane, stare polityczne penisy. I radnymi, jak wspomniany Dawid Kacprzyk, jednak zostają.

Ogony merdają

Młódź z młodzieżówek potrafi już ograć starych, zwykle lokalnych liderów, bo wie, jak wykorzystać swe atuty. Wie, że starzy liderzy potrzebują ich do uwiarygodnienia się w mediach. Potrzebują ich w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych. Głosy zwartej grupy młodych mogą przesądzić o wyborze lokalnych władz partyjnych. Silny ich głosami młody lider potrafi wymusić udział reprezentanta młodych we władzach dorosłej partii. Wodzowie młodzieżówek mają też dostęp do uszów partyjnych prezesów.

Często partyjne podziały generują podziały w ich młodzieżówkach. PiS ma swe „Forum Młodych", deklarujące wierność prezesowi Kaczyńskiemu, ale też „Nową PL" związaną „harcerzami" Mateusza Morawieckiego. Aktywiści obu młodzieżówek



Rys. TOMASZ WIATER

aktywni są w mediach, gdzie agitują za swymi politycznymi seniorami. Najsłynniejszy to Oskar Szafarowicz. Posiadacz ust glonojada, podobnych do usteczek influencerek, którymi bezustannie chwali posła Jacka Sasina. Za co krzywią swe usta jego partyjni konkurenci.

W Koalicji Obywatelskiej też są dwie młodzieżówki. Młodzi Demokraci nawiązujący do tradycji Unii Wolności i Nowa Generacja, której liderem był Dawid Kacprzyk. Powoływał się wtedy ponoć na przychylność ministra Marcina Kierwińskiego i „cioci Gosi", czyli marszałek senatu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Dziś minister i marszałkini wypierają się związków z Kacprzykiem jak apostoł Piotr znajomości z Jezusem.

Nowa Lewica ma tylko jedną młodzieżówkę. Młodą Lewicę powstałą w wyniku zjednoczenia dawnych młodzieżówek SLD i Wiosny. Działa już rok i jeszcze się nie podzieliła.

PSL ma swoją młodzieżówkę. Dyskretną, obrotową, jak partia matka.

Partia „Razem" ciągle działa jak organizacja młodzieżowa. Podobnie trzy Konfederacje, których liderzy stale nie potrafią wyrosnąć z politycznej niedojrzałości.

Kiedy byłem młodym posłem, hej, wybitny artysta Tomasz Wiater narysował mi obrazek „Posłowie lewicy stawiają na młodych". To dziś już zapis przeszłości. Dzisiaj młodzi kandydaci na polityków dobrze znają swą wartość. Nie noszą już starszyźnie teczek pokornie i za bezdurno. Potrafią wyczekać na odpowiedni moment, by się jak najkorzystniej sprzedać.

Partie widma

W Polsce do wszystkich partii politycznych należy mniej niż 1 proc. wszystkich obywateli uprawnionych do głosowania. W europejskich państwach o demokratycznych tradycjach partyjni to ponad 3 proc. Wielu członków polskich partii to martwe dusze. W partyjnym życiu nie uczestniczą. Często nie płacą nawet symbolicznych partyjnych składek. Składki nie są ściągane, bo polskie partie nie utrzymują się z nich. Polskie partie żyją z uczestnictwa w wyborach parlamentarnych i samorządowych. Przekroczenie progu 3 proc. poparcia w wyborach do sejmu daje partii coroczną dotację z budżetu państwa. Wystarczy, by przeżyć do następnych wyborów, choć bez gwarancji na sukces. Przekroczenie 5 procent to mandaty parlamentarne. A te przekładają się na kolejne budżetowe dotacje. Zwłaszcza na biura parlamentarne.

W Polsce partie polityczne nie mają rozbudowanego partyjnego aparatu opłacanego z partyjnych składek. Partyjni działacze pracują w partii formalnie społecznie. Ale wielu z nich ma inne źródła dochodów otrzymane dzięki tej działalności. Mogą być zatrudnieni w biurach poselskich, które faktycznie są partyjnymi biurami. Dobrze mieć eurodeputowanych, bo oni otrzymują wysokie dotacje na zatrudnianie asystentów i utrzymanie biur.

Dobrze mieć silne reprezentacje w sejmikach wojewódzkich i innych władzach samorządowych. Wtedy pracujący społecznie w partii fachowiec może zostać dyrektorem szpitala, muzeum, a nawet teatru podległego marszałkowi sejmiku wojewódzkiego, prezydentowi miasta lub burmistrzowi. Taki działacz może być delegowany do rad nadzorczych, konsultacyjnych, programowych przeróżnych instytucji. Pracować tam za diety i wpływy.

Taki system nagradzania polityków i ludzi aktywnie wspierających partie sprawia, że do sfery polityki trafiają osoby o określonych już na starcie oczekiwaniach, kwalifikacjach i kompetencjach. Kiedy polska polityka staje się podporządkowana – zdeterminowana wręcz – koniecznością wygrania kolejnych wyborów, to przyciąga i promuje ludzi o potrzebnych jej kwalifikacjach i osobowościach. Bardziej piarowców niż ideowców. Skoro w Polsce zaczyna dominować polityka transakcyjna, to trudno, by brylowali w niej ideowi nonkonformiści.

Kiedy byłem młodym posłem, hej, moi parlamentarni koledzy terminowali wcześniej w organizacjach młodzieżowych. Przede wszystkim studenckich. Każda z nich, czy to dawne ZSP czy NZS, dawał im demokratyczny trening. Uczyła kooperacji, pracy zespołowej. Uczyła wycinania konkurencji podczas wyborów władz. Ale nie zabijała ideowości, marzeń. Dziś takich organizacji już nie ma. Partyjne młodzieżówki traktowane są często jako drogi szybkiego ruchu do karier i pieniędzy.

Dlatego aktywiści partyjni walczą też o wpływy, sojusze ze związkami zawodowymi, stowarzyszeniami, kołami gospodyń wiejskich i ochotniczymi strażami pożarnymi. Często biorą ich popularnych liderów na swe listy wyborcze. Bo nadmiaru kandydatów do polityki u nas nie ma.

Ponieważ polska polityka podporządkowana jest kampaniom wyborczym, to na listy wyborcze, czyli do polityki, trafiają też popularni samorządowcy, byli sportowcy i aktorzy, komentatorzy sportowi, youtuberzy i wszelcy celebryci aktywni w internecie. Ludzie znani z tego, że są znani. Nie dziwmy się, że wtedy „polityk ideowy" to totalny oksymoron.

PIOTR GADZINOWSKI

Zdrowie do reanimacji

Plaster na polityczny ból dupy

„Szef Naczelnej Rady Lekarskiej oświadczył, że jest rozczarowany spotkaniem z minister zdrowia. A ja byłbym rozczarowany, gdyby on po tym spotkaniu był zadowolony" – obwieścił zjadliwie na portalu X Roman Giertych. Pan poseł widać nie rozumie, że ogłoszony przez ministra Sobierańską-Grendę program naprawczy systemu ochrony zdrowia to pakiet przesunięć i kontroli kosztów osobowych w służbie zdrowia, a nie reforma. Za ratowanie kryzysu politycznego, które nie ma nic wspólnego z pakietem kierunkowych zmian systemu, zapłacimy wszyscy.

Hit czy kit?

Minister zdrowia Jolanata Sobierańska-Grenda dokonała niemożliwego. Pod groźbą utraty stołka stworzyła receptę na wyhodowaną przez 30 lat zaniedbań gangrenę toczącą system opieki zdrowotnej. Tak przynajmniej można wnioskować z optymizmu, jaki zapanował wśród ekipy rządzącej. 8 lipca w Ministerstwie Zdrowia odbyła się konferencja prasowa z udziałem minister Sobierańskiej-Grendy, szefa Narodowego Funduszu Zdrowia Filipa Nowaka oraz rzecznika praw pacjenta Bartłomieja Chmielowca w sprawie planowanych zmian. Można by pomyśleć, że gdyby politycy wzięli temat poważnie, konferencja powinna się odbyć w KPRM, z udziałem premiera i jego zapowiedzią, że zmiany wspiera. Ewentualnie, że w razie potrzeby będzie rozmawiać z ministrem finansów, klubami poselskimi i resztą sejmowej wierchuszki, na potrzeby wspólnego wypracowania ustawowych fikołków. Tak się jednak nie stało.

Politycznym paliwem ministerialnej aktywności były dwie sprawy: Warszawski Szpital Południowy oraz spółka neurochirurgów działająca w Mogilnie i Miastku. Na obu poza kręceniem kosztownych lodów ciążą zarzuty o nadpisywanie dokumentacji medycznej, czyli robienie wałów.

Żeby ugasić pożar w burdelu, minister resortu przedstawiła „Pakiet zmian w ochronie zdrowia". Lista najważniejszych obejmuje: likwidację kominów płacowych, maksymalny limit zarobków medyków 240 zł brutto za godzinę (wskaźnik stosowany jako przelicznik do etatu); zatrudnienie pracownika medycznego na co najmniej połowę etatu, możliwość zatrudnienia w innym miejscu za zgodą głównego miejsca zatrudnienia, centralna e-rejestracja i e-kolejka – w tym przy zapisach do szpitali na zabiegi planowe. Kolejna nowość to ograniczenie kosztów wynagrodzeń w całości wydatków szpitali finansowanych przez NFZ, zależne od rodzaju szpitala. Resort ma ambicję, by zejść z obecnego poziomu przekraczającego 80 proc. do poziomu 60 proc. Zmianom ma też ulec wycena usług medycznych przez NFZ. Szefowa MZ zaznaczyła, że pakiet zmian to przede wszystkim odpowiedź na potrzebę wzmocnienia bezpieczeństwa pacjentów i odbudowy zaufania do systemu. Śmiesznie wyszło, bo w zasadzie przedstawiono plan, który na stole leżał już w ubiegłym roku. Wtedy został zablokowany politycznie. Klimat społeczny wokół pensji lekarzy zrobił niezły grunt pod zmiany. Środowisko medyczne jest jebane przez wszystkie przypadki, nikt jeńców nie bierze. Czy pakiet Sobierańskiej-Grendy ma szanse na wdrożenie ?

Pocałunek śmierci

Informacja o wystrzelonych w niebiosa zarobkach części lekarzy podnieciła społeczeństwo do linczu. Skoro lekarze ze Szpitala Miejskiego w Miastku wykręcali 26 tys. zł na godzinę, 240 zł brutto jako ministerialna stawka maksymalna może cieszyć. Formalna stawka dotyczy przede wszystkim kontraktów, bo umowy o pracę reguluje osobna ustawa o minimalnym wynagrodzeniu w podmiotach leczniczych. Limit powstał z prostego przeliczenia realnych zarobków etatowych, na które składają się też dodatki. Lekarz na etacie rzadko zarabia tylko gołą pensję ustawową. Jest jeszcze dodatek stażowy, za stopień naukowy i funkcję oraz za dyżury medyczne. Tym samym w przeliczeniu „na etat" 240 zł za godzinę da ok. 40 tys. zł brutto miesięcznie. Mediana kontraktów to 25 tys. zł miesięcznie. Są jednak dziedziny deficytowe i dyżury, przez które kontrakty sięgają 100–300 tys. zł na miesiąc, a niekiedy więcej. Wedle doniesień ograniczenia mają objąć również szpitale prywatne, o ile działają na kontrakcie z NFZ. Zdawałoby się, system będzie szczelny. Otóż niekoniecznie.

Prywatne placówki realizujące publiczne kontrakty mają pakiet narzędzi do sterowania kryzysem. Jeśli wykażą, że przy limicie 240 zł za godzinę i jednoczesnym corocznym wzroście płac minimalnych na etatach realizacja procedur dla NFZ przestaje być dla nich opłacalna, Ministerstwu Zdrowia może się zrobić gorąco. Budowa nowoczesnego szpitala kosztuje krocie. Kiedy prywatny inwestor buduje placówkę za własną kasę, a potem realizuje w niej świadczenia dla NFZ, MZ i budżet państwa zyskują nowoczesną infrastrukturę medyczną bez uszczerbku w budżecie. Korporacje medyczne obsiadają powołany przez rzecznika praw pacjenta zespół ds. deregulacji w ochronie zdrowia (nie ma w nim przedstawicieli szpitali publicznych), te same korporacje deklarują, że 30 proc. szpitali w Polsce jest zbędna. Czy będą protestować w sprawie stawek? Nie wiem, choć się domyślam.

Co jeszcze mogą zrobić medyczni prywaciarze? Np. rozdzielić umowy. Lekarz dostanie maksymalną rządową stawkę za godziny, w których operuje lub przyjmuje pacjentów w ramach NFZ. Za kolejne godziny pracy ten sam szpital zapłaci lekarzowi znacznie więcej. W ten sposób szpital prywatny przyciągnie kadrę, oferując atrakcyjny „pakiet łączony". Biedota będzie się kisić w kolejkach państwowych umieralni (ale sprawdzi swój numerek w e-kolejce), bardziej zamożni uratują skórę.

eprasa.pl c41309f7b5

KPN kontra PHK



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Smutne losy schedy po Hołowni

Ryzykując, że zabrzmię jak mizogin: gdzie dwie baby się biją, tam nikt nie korzysta. Wojna dwóch ministrzyc wywodzących się z partii Szymona Hołowni budzi we mnie zażenowanie, które zawsze odczuwam, gdy kobiety w polityce potwierdzają najgorsze seksistowskie stereotypy.

Życiowy wybór

Bez wątpienia bliżej mi do Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, która ma w moich oczach tę supermoc, że stawia się Tuskowi. Ponadto wiele jej postaw trąci lewactwem – jak zaangażowanie w walkę o budownictwo socjalne, sprzeciw wobec pasących deweloperów i banki programów typu „kredyt zero procent", czy walka o (uwaloną właśnie przez rząd) realną regulację najmu krótkoterminowego, który jednocześnie absurdalnie winduje ceny mieszkań i morduje tkankę miejską.

Z drugiej strony – ostatnie wyskoki KPN (Czytelnicy korzystający z przywileju wczesnego urodzenia docenią ten skrót) budzą we mnie skojarzenia z gatunku „scyzoryk – kieszeń". Absurdalny jest postulat podniesienia drugiego progu podatkowego ze 120 do 140 tys. zł rocznie – jako recepty na „przywrócenie klasie średniej bezpieczeństwa codziennego życia". W kraju, gdzie mediana zarobków w ukochanym także przez Polskę 2050 sektorze „małych i średnich przedsiębiorstw" nie sięga 5 tys. zł brutto – komfort tych, którzy przytulają dyszkę, naprawdę nie jest sprawą najpilniejszą.

No i oczywiście na szczególne odnotowanie zasługuje ostatnia koncepcja ministrzycy: ta o podniesieniu do 65 lat wieku emerytalnego bezdzietnych kobiet, opatrzona krytyczną pod ich adresem uwagą, że „dzisiaj co druga młoda kobieta ma taki najczęściej wybór życiowy, że nie ma dzieci". Osobiście planuję pracować do śmierci, ale koncept karania kobiet, które nie są matkami, via system emerytalny jest tak bezgranicznie głupi, że aż trudno wymienić wszystkie jego idiotyzmy.

Pojawi się oto konieczność oddzielenia tych kobiet, dla których jest to „życiowy wybór" – jak dla mnie – od tych, które są dotknięte bezpłodnością. A jeśli nie one, tylko ich mężowie – to co? Mają sobie zrobić dziecko z innym facetem, żeby zaspokoić oczekiwania pani ministry? A jak nie mają męża, bo nikt nie chciał się z nimi ożenić – to mają być karane przez państwo za brak powodzenia? Czy może będą mogły to jakoś udowodnić? Może zdjęciem z młodości?

Pomijając już nierównościowy efekt tego rozróżnienia: bezdzietne kobiety pracujące do 65. roku życia wypracują sobie emerytury ze dwa razy wyższe niż te, które skorzystają z urlopów macierzyńskich i wychowawczych.

I Pełczyńska-Nałęcz to wszystko wie. Więc jej pomysł nie był poważną propozycją polityczną, tylko rozpaczliwą próbą wyróżnienia się z tłumu. Słabo.

Fundamenty państwa polskiego

Acz oczywiście nieopisanie bardziej żałosna jest Paulina Hennig-Kloska i jej nowa partia stworzona po to, żeby było co przehandlować Tuskowi w zamian za dwa czy trzy biorące miejsca na liście KO. A już do łez ubawiła mnie informacja, z kim mianowicie PHK tę partię tworzy.

Co więcej: ona chyba też czuje, że to nie jest powód do dumy. W porannym wywiadzie w TVN24 – pierwszej ważnej rozmowie po niedzielnym obwieszczeniu narodzin Unii Centrum – szefowa nowej partii tokowała: „Połączyliśmy się ze środowiskiem, które prowadzi partię przez kilkadziesiąt lat, tę samą, to partia, która została wpisana do rejestru partii politycznych w Polsce na numer 12 i w ten sposób też odwołujemy się do tych wartości, które leżały u fundamentów tworzenia się państwa polskiego"… I ani słowem nie wspomniała, jaka to partia. Dopiero Aleksandra Leo w Polsacie rozwiała wątpliwości: chodzi mianowicie o Unię Wolności.

Znienacka przypomniała mi się złota myśl z „Parku Jurajskiego": „Dinozaury miały swoją szansę i natura wyselekcjonowała je do wyginięcia". Dokładnie to samo można powiedzieć o Unii Wolności.

Przypomnijmy: Unia Wolności powstała w 1994 r. po tym, jak potężna wówczas Unia Demokratyczna ulitowała się nad Kongresem Liberalno-Demokratycznym, który nie wszedł do sejmu w 1993 r. Nastąpiło zjednoczenie elity tzw. opozycji demokratycznej (Mazowiecki, Kuroń, Geremek, Frasyniuk, Hall, Lityński, Wujec, Krzyżanowska, Kuratowska, Komorowski) z liberałami Bieleckiego, Tuska i Lewandowskiego. I oba środowiska uznały, że – wobec totalnej klęski Tadeusza Mazowieckiego w wyborach prezydenckich w 1990 r. oraz zwycięstwa postkomuny w wyborach parlamentarnych w 1993 – wymarzonym liderem nowej formacji będzie Leszek Balcerowicz, którego bezwzględny neoliberalny dogmatyzm i totalna społeczna głuchota stały za oboma tymi wynikami.

Następnie Unia Wolności dostała 13,4 proc. i 60 mandatów w wyborach w 1997 r. (tych, w których SLD stracił władzę po powodzi i nieszczęsnym „trzeba się było ubezpieczać") i razem z Akcją Wyborczą Solidarność stworzyła rząd, którego polityka była tak popularna, że w 2001 r. żadna z partii władzy nie weszła do parlamentu (UW dostała 3,1 proc.). Na ich truchle powstały PiS i PO – ciąg dalszy tej historii wszyscy pamiętają.

Historia Unii Wolności jest mniej znana: najpierw powstała z niej Partia Demokratyczna – demokraci.pl, która znowu nie przeszła progu w 2005 r., a na wybory w 2007 dokleiła się do SLD, tworząc nieszczęsny LiD, dzięki czemu kilku kolesiów przeczołgało się do następnego sejmu. Następnie SLD zerwał koalicję, a z demokratów powstało koło poselskie, którego wszyscy członkowie przed końcem kadencji odeszli do innych partii. W kolejnych latach resztki demokratów dołączyły do koalicji założonej przez Palikota i jakieś niedobitki od Borowskiego, później próbowały wjechać do sejmu na Zlewie (Zjednoczonej Lewicy), ale był to rok 2015 i lewica nie przeszła progu. Aż wreszcie w 2016 połączyły się z odrzutami z PO w dumnie brzmiącą Unię Europejskich Demokratów – z której właśnie, jak słyszymy, wypączkowała Unia Centrum. Co tu dużo gadać: urodzeni zwycięzcy.

Wolność, dobrobyt, poszanowanie

A może drwię niesłusznie? A może ta nowa formacja pod charyzmatycznym przywództwem Pauliny Hennig-Kloski będzie mądra, dojrzała i obdarzona słuchem społecznym?

Oddajmy głos liderce: „Przez cały czas towarzyszy mi ten sam kod wartości: wolność gospodarcza, dobrobyt obywateli budowany przez pracę, poszanowanie środowiska naturalnego"…

Czy ktoś mógłby jej wytłumaczyć, że te cele są wzajemnie sprzeczne?

„Wolność gospodarcza" jest tym, co przyczyniło się – i nadal przyczynia – to dewastacji środowiska naturalnego. I bez stłumienia tej „wolności" – daleko idących i surowo egzekwowanych regulacji – znaczne obszary Ziemi staną się niezdatne do życia do 2050 r.

Podobnie jest z „dobrobytem przez pracę" – w warunkach „wolności gospodarczej" praca milionów przyczynia się do dobrobytu nielicznych. 1 proc. najbogatszych Polaków posiada dziś 30 proc. całego polskiego bogactwa. 10 proc. najbogatszych – 62 proc. Uboższa połowa Polaków ma tylko 20 proc. krajowego majątku, a ponad 2 mln ludzi żyją w skrajnym ubóstwie.

Odpowiedzią na to jest progresywna skala podatkowa z wysokim opodatkowaniem najwyższych dochodów, bezwzględne egzekwowanie tych podatków, „odelastycznienie" rynku pracy: wyeliminowanie możliwości uciekania na samozatrudnienie i wypychania na nie pracowników, stałe umowy o pracę, być może ustawowa regulacja rozpiętości płac w przedsiębiorstwach – tak, żeby zarząd nie zarabiał milionów, płacąc szeregowym pracownikom pensję minimalną. Także zwiększenie roli związków zawodowych i pozycji negocjacyjnej pracowników. Tu nie trzeba wymyślać koła: droga do „dobrobytu przez pracę" od dekad opisywana jest przez najwybitniejszych światowych ekonomistów, takich jak Anthony Atkinson, Thomas Piketty, Joseph Stiglitz, a ostatnio Gabriel Zucman.

Ja rozumiem, że p. Hennig-Kloska nie będzie sobie tym kłopotała swojej ślicznej główki. Ale od Pełczyńskiej-Nałęcz oczekiwałabym poważniejszej refleksji. Do 2050 r. nie zostało już tak wiele czasu.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Biskupowi Wiesławowi Szlachetce przyszło coś do głowy, a to, co przyszło, postanowił powiedzieć: – A by mieć dziecko, można je po prostu zaadoptować. Nie trzeba uciekać się do procedur in vitro nazywanych kłamliwie leczeniem bezpłodności.

Zadowolony z siebie chciał zapalić światło, ale nigdzie nie było włącznika. Tynku też nie było na ścianie, tylko nierówno położony kamień.

– Rodzice borykający się z problemem niepłodności mogą podjąć metodę leczenia zwaną naprotechnologią, która jest w dużym stopniu skuteczna i jednocześnie jest zgodna z nauką Kościoła – rzekł Szlachetka, dziwiąc się, że nie ma już na sobie założonej wieczorem piżamy, tylko zgrzebny habit. Miał też brudne ręce i nieświeży oddech. Chciał zakląć po chrześcijańsku, lecz westchnął tylko w obcym języku: – Memento mori.

Habit zniknął. Biskupi grzbiet chroniła teraz niewyprawiona żubrza skóra. Na głowie miał skołtunione włosy pełne insektów, a policzki zarośnięte bujnie, choć nierówno. Nie było już nawet kamiennej ściany, lecz tylko lita skała. Nie było elektryczności ani pochodni. Szlachetka odnosił wrażenie, że nie potrafi rozniecić ognia. Nigdy nie czytał Biblii, ba – nie wiedział o istnieniu bogów. Wierzył w siłę piorunów i łaskę tygrysów szablozębnych. Nie był żadnym biskupem, tylko pochodzącym od małpy australopitekiem o małym, naprawdę bardzo małym rozumku.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Szpitale publiczne zatrudniają kontraktowców przez tzw. konkurs ofert. Jeśli szpital zaproponuje zbyt niską stawkę maksymalną (np. 150 zł), lekarze po prostu nie złożą ofert. Szpital będzie zmuszony rozpisać nowy konkurs ze stawką maksymalną. Gwoli ścisłości, są oddziały, na którym do czasu pomysłu minister Sobierańskiej-Grendy nie śniło się, że można tyle wyciągnąć na godzinę. Ich pracownicy już się cieszą. Każdy by się cieszył.

Smród prowincji

Obok limitu indywidualnego resort chce wprowadzić maksymalne poziomy wydatków płacowych w budżetach szpitali pasionych z pieniędzy NFZ. O co chodzi? O słynne polityczne oburzenie, że niektóre placówki na pensje personelu przepalają 80 proc. całego budżetu. To nie takie proste. Szpitale powiatowe mają wysoki udział płac w kosztach, bo ich produktem jest czas i gotowość personelu, a nie wysokomarżowe procedury. Utrzymują izby przyjęć, chirurgię ogólną czy np. słabo wycenianą pediatrię, nawet przy niewielkim obłożeniu. Aż 90 proc. takich placówek nie pokrywa kosztów swojej podstawowej działalności. Aby nie zbankrutować, dyrektorzy celowo organizują pracę tak, by zyski z prostych, szybkich i świetnie wycenianych przez NFZ zabiegów pokrywały gigantyczne straty generowane przez inne oddziały. Tak działa wspomniana przez minister „medycyna walizkowa" i kominy płacowe. To nie rozrzutność samych szpitali, a inny model działalności. Wielkie ośrodki mają stałe duże programy lekowe, robotykę i inne bajery, którymi równoważą wydatki. Skutkiem tego generują 40–60 proc. udziału płac. Szpitale powiatowe z kijową strukturą dochodów umrą śmiercią naturalną. Uprzedzając pytania, wysokiej klasy specjalista nie zatrudni się na pół etatu w pipidówie, podobnie jak specjalista każdej innej branży.

Co ciekawe, 30 czerwca do konsultacji trafił projekt rozporządzenia wprowadzający nowe placówki – powiatowe centra zdrowia, które mają wspomóc system ratownictwa medycznego i zabezpieczyć pacjentów w regionach pozbawionych szpitali. Będą tworzone w powiatach, na terenie których odległość drogowa do najbliższego podmiotu realizującego pomoc w trybie nagłym przekracza 30 km.

A skąd hajs? Z procesu kontrolowanego zwijania klasycznego lecznictwa szpitalnego w powiatach i zamieniania go w tańszą opiekę. Jak dobrze pójdzie, żadna kontrola nie będzie potrzebna. Lecznice zlikwidują się same.

Z racjonalnego punktu widzenia, pomysł może nie jest najgorszy. Jest jednak jeden kłopot. Likwidacja i przekształcenia przynoszących straty oddziałów bez dosypywania pieniędzy mogą się smarkato skończyć, jeśli wziąć pod uwagę w jakim tempie starzeje się społeczeństwo. Tymczasem w planie na 2027 r. wydatki na leczenie szpitalne rosną, a na ambulatoryjną opiekę specjalistyczną minimalnie spadają: z 17,44 do 17,3 mld zł. Co prawda minister zdrowia przebąkiwała, że w celu odwrócenia piramidy świadczeń zostanie stworzony celowy fundusz na 20 mld zł kasy krajowej i unijnej. Niestety pieniądze mają ruszyć dopiero w 2028 r. Wtedy po pani minister, jej planach i wielu publicznych lecznicach pozostanie już tylko wspomnienie.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl c41309f7b5

Służba zdrowia i inne obelgi

Jak libki uleczyły język, a zabiły sens

Libkom nie pasowała nazwa „służba zdrowia”. Zamienili ją więc na „ochronę zdrowia”. Myślisz, że to nic: ot, taka językowa subtelność, poprawka kosmetyczna, jedno słowo zamiast drugiego. O nie, nie! Oni dobrze wiedzieli, że język tworzy rzeczywistość. A przynajmniej tę rzeczywistość, którą można zmonetyzować. To była zmiana świadoma i fundamentalna – zmiana istoty rzeczy. Wielki Słownik Języka Polskiego podkreśla, że pojęcie „służby” dotyczy działania dla dobra społeczności, ojczyzny, prawdy czy sprawiedliwości, czyli czegoś bardziej misyjnego niż czysto zawodowego. A nadto przecież archetypicznie w głowie każdego Polaka służba to praca na rzecz pana, właściciela, hegemona. W systemie demokratycznym tym panem, właścicielem i hegemonem powinno być społeczeństwo – suweren. Tak, to okropne słowo dla każdego eleganckiego liberała: społeczeństwo. Bo społeczeństwo czegoś chce, czegoś żąda, czegoś oczekuje. A klient? Klient jest OK, bo może wybrać pakiet.

Słowo „służba” brzmi podniośle i jest używane w określeniach typu „służba publiczna”, czyli tam, gdzie chodzi o sprawy pryncypialnie ważne. To libków bolało. Jakże to tak: „służba”? Przecież lekarz, pielęgniarka, ratownik medyczny, a także polityk zarządzający resortem zdrowia, to broń Boże nie żaden służący, tylko profesjonalista.

W Konstytucji RP z 1997 r. w art. 68 użyto pojęcia „ochrony zdrowia”. Samo pojęcie nie jest nowe, ale świetnie nadało się do nowej politycznej wyobraźni. „Ochrona” brzmi neutralnie, technicznie i bezpiecznie. Tylko nie wiadomo, kogo ten system ma właściwie chronić: pacjenta czy chroniących? Chorego człowieka czy budżet?

Dopóki mówiliśmy „służba zdrowia”, w samym języku siedziało zobowiązanie. Ktoś komuś służy. Ktoś odpowiada przed kimś. Państwo odpowiada przed obywatelem, lekarz nie jest trybikiem, pielęgniarka nie jest kosztem osobowym, a pacjent nie jest „świadczeniobiorcą” tylko człowiekiem. Kiedy postawiono na „ochronę”, sprytnie pozbyto się z polityki zdrowotnej człowieka – suwerena.

W potocznej świadomości służbą pozostaną raczej na zawsze formacje służące bezpieczeństwu ludzi: policja, wojsko i straż pożarna – przynajmniej dopóki libki nie postanowią ich prywatyzować, formując coś na kształt prigożynowskiej Grupy Wagnera. Ale bezpieczeństwu ma służyć także polityka zdrowotna państwa. I to bezpieczeństwu najbardziej powszechnemu, najbardziej codziennemu, najbardziej bezwzględnemu. Bo można nie mieć sprawy w sądzie, można nie spotkać złodzieja, można nigdy nie zadzwonić po straż pożarną. Ale zachorować może każdy. Liberał też. Choć oczywiście on wtedy nie choruje, tylko „korzysta z usługi medycznej”.

Liberałowie wyeliminowali z języka prawa pojęcie służby w systemie bezpieczeństwa zdrowotnego, ale nie mają wielkiego problemu ze stosowaniem tego pojęcia w odniesieniu choćby do Służby Ochrony Państwa, Krajowej Administracji Skarbowej i Służby Celno-Skarbowej, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego czy Służby Więziennej. Tam „służba” nikogo nie razi. Nie razi, bo w tych przypadkach panem i hegemonem nie jest obywatel, tylko władza. Tam „służba” służy państwu jako aparatowi. Tu miałaby służyć społeczeństwu jako wspólnocie. A to już pachnie roszczeniowością, populizmem i, nie daj Boże, socjalizmem.

Dlatego językowa operacja była tak wygodna. Zamiast służby – ochrona. Zamiast obywatela – pacjent. Zamiast prawa – świadczenie. Zamiast odpowiedzialności państwa – koszyk. Zamiast wspólnoty – rynek usług.

Zamiast pytania: „co się ludziom należy?”, pytanie: „na co nas stać?”. A gdy już ustalimy, że na niewiele, zawsze można zamówić kampanię społeczną, w której poinformuje się człowieka, że powinien zdrowiej żyć, wcześniej się badać i rzadziej przeszkadzać systemowi.

Oczywiście libek powie, że przesadzam. Że „ochrona zdrowia” to pojęcie szersze i profesjonalne. Że nie można lekarzy i pielęgniarek obciążać romantyczną misją. I tu, wyjątkowo, ma odrobinę racji: pracownicy medyczni nie mają być zakonnicami od cierpienia ani świętymi od łatania państwowej nędzy własnym kręgosłupem. Mają być dobrze wynagradzani, szanowani i chronieni przed wyzyskiem. Ale właśnie dlatego potrzebujemy „służby zdrowia” jako zobowiązania państwa, a nie „ochrony zdrowia” jako eleganckiej nazwy dla zarządzania deficytem.

Służba nie oznacza poniżenia pracownika. Oznacza podległość instytucji wobec celu publicznego. Oznacza, że system jest dla ludzi, a minister zdrowia jest wykonawcą obowiązku wobec społeczeństwa. Że zdrowie nie jest towarem, kolejka nie jest mechanizmem selekcji naturalnej, a prywatny abonament nie jest dowodem zaradności, tylko upadku państwa.

Bo liberalizm w Polsce zawsze był najbardziej wzruszający wtedy, gdy pouczał chorych, biednych i starych, że państwo nie jest od spełniania ich roszczeń. Państwo, według libka, jest od tego, żeby było poważne. Czyli tanie dla bogatych, surowe dla biednych i bezradne wobec rynku. A gdy obywatel pyta, kto mu w chorobie pomoże, libek poprawia okulary, wzdycha jak człowiek cywilizowany i odpowiada: „proszę pani, to nie służba. To ochrona. Proszę się chronić we własnym zakresie”.

ANNA GRODZKA



Rys. JANUARY

Rządy „prawa” czy wielkich korporacji

Lekarstwo Pfizera na poprawę ostrości widzenia

Firmy z Zachodu przez stulecia korzystały z taniej pracy, tanich surowców, rynku zbytu kolonii. Ale musiały znaleźć sposób na dalszą ich eksploatację, kiedy te odzyskały niepodległość. Zachodni kolonialiści tracili dochody i strefy wpływów. Dobiegała kresu darmowa eksploatacja bogactw naturalnych – jak ropy w Iranie, kiedy rząd Mohammada Mosaddegha dokonał próby nacjonalizacji Anglo-Iranian Oil Co. Dobiegała też kresu kontrola nad Kanałem Sueskim, a Kuba demontowała amerykański burdel na wyspie. Coraz więcej krajów próbowało dokonać skoku w nowoczesność, naśladując „komunistów”: nacjonalizacja, industrializacja, planowanie.

Bezpośrednia przemoc, wcześniej często z nieba, stała się démodé. Dlatego pojawiła się nowocześniejsza broń – broń zdeponowana w gmachach sądów. To prawo międzynarodowe i „rządy prawa”. W ramach takiego prawa amerykańska korporacja Pfizer zajęła właśnie konta Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej odpowiedzialnej za bezpieczeństwo ruchu powietrznego. Pfizer mógł to zrobić, albowiem belgijski sąd zasądził mu od Polski prawie 6 mld zł w sprawie kompletnie niezwiązanej z ruchem lotniczym – chodzi o nieodebranie części szczepionek na covid przypisanych Polsce w ramach umowy Pfizera z UE z 2021 r.

Jednym z głównych instrumentów „rządów prawa” jest ISDS – Investor-State Dispute Settlement, czyli mechanizm ochrony własności i zysków zachodnich inwestorów w dawnych koloniach i na peryferiach globalnego kapitalizmu. Także w kraju nad Wisłą.

Zyski w sektorze farmaceutycznym pochodzą z opracowania, często dzięki publicznym subwencjom, nowych leków. Następnie ich receptura polega ochronie prawnej przez dwie dekady. To zapewnia dodatkowo dochody z własności intelektualnej. Koszty produkcji leków są obniżane dzięki komponentom pochodzącym teraz z Azji, głównie z Indii i Chin. Na dodatek interesy koncernów farmaceutycznych są chronione przez wielostronne organizacje jednostronne: MFW, WTO, BŚ. Także technokracja UE stara się dopasować regionalny biznes do logiki zglobalizowanej gospodarki. Na szczęście udało się uniknąć „pułapki transatlantyckiej” zwanej projektem TPPI, który miał poparcie polskiego rządu.

W globalnym kapitalizmie dominują wielkie korporacje – big techy, big farma, big oil. To tylko szyld dla ich udziałowców, posiadaczy kapitału portfelowego, top menedżmentu. Molochy współczesnego kapitalizmu korzystają z możliwości organizowania produkcji na całym globie. Wykorzystując tanią pracę i surowce peryferii, mogą minimalizować swoje koszty i lokować zyski w rajach podatkowych. To tzw. defiskalizacja zysków.

Żeby kapitały mogły swobodnie cyrkulować po całym świecie, musiały się rozwinąć ramy prawne dla ochrony ich inwestycji i lokat. Państwa peryferii zapożyczały się u zagranicznych „inwestorów”, a także starały się przyciągać ich inwestycje na swoje terytoria. W tym celu podpisywały umowy bilateralne i multilateralne z państwami Północy. To wówczas pojawiło się zjawisko offshoringu i nieszczęsny traktat Investor-State Dispute Settlement. Tzw. offshoring odpowiada za rozkwit rajów podatkowych, degradację prawa pracy, lokowanie odpadów wybujałej konsumpcji Zachodu na globalnym Południu.

Jak w 1991 r. ujął to ówczesny główny ekonomista Banku Światowego Lawrence Summers: „upychanie toksycznych śmieci w najbiedniejszych krajach jest logiczne z ekonomicznego punktu widzenia, ponieważ straty związane z chorobami i zgonami będą tam najniższe”.

Od 1968 r. państwa zaczęły inkorporować do traktatów mechanizm ISDS. Pierwszy taki traktat uregulował majątek pozostawiony przez Niderlandy w byłej kolonii – Indonezji. 20 lat wcześniej kolonizatorów usunął ruch niepodległościowy po przywództwem późniejszego prezydenta Sukarno.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

To wtedy odrzucono zasadę, że straty inwestora będą pokrywane przez państwo ojczyste inwestora, nie zaś przez państwo przyjmujące. Powstał nowy dekalog dla biznesu: „Magna Carta for Capitalism”. U jej podstaw leży kult prawa własności i jego ochrona, a więc jeden z filarów kapitalizmu i jądro jego moralności publicznej. Sygnatariusze mieli od tej pory odpowiadać przed międzynarodowym trybunałem arbitrażowym, a kraje nieposłuszne konwencji miały zostać odcięte od możliwości zaciągania kolejnych kredytów zagranicznych i zawierania umów.

Do historii przeszły takie wyczyny „wolnej przedsiębiorczości” jak pozwanie przez giganta sektora tytoniowego Philip Morris państwa australijskiego i urugwajskiego za utratę potencjalnych zysków. Te mogły ucierpieć wskutek narzuconego przez państwo obowiązku informowania klienta o skutkach zdrowotnych palenia papierosów. Do księgi rekordów Guinnessa kwalifikuje się wyczyn francuskiego koncernu Veolia. W 2012 r. pozwał ona egipskie państwo, bo podniesienie pensji minimalnej w tym kraju o 32 euro zwiększyło koszty robocizny, a tym samym obniżyło zyski. Podniesienie minimalnej płacy z 41 euro do 72 było następstwem ulicznych protestów podczas Arabskiej Wiosny. Bezczelny pozew na ponad 200 mln dolarów odrzucił sąd arbitrażowy. Dzięki wykorzystaniu ISDS na konta korporacji big oil trafiło 80 ze 114 mld USD przyznanych w odszkodowaniach przez sądy arbitrażowe.

Powodem roszczeń wobec państwa przed międzynarodowymi trybunałami arbitrażowymi może być np. dyskryminacja w dostępie do subwencji, inaczej mówiąc: polityka gospodarcza państwa, jeśli ogranicza „wolną przedsiębiorczość”. Ale najczęściej chodzi o skutki działań regulacyjnych, które inwestorzy traktują jako „wywłaszczenie pośrednie”, bądź jako „niesprawiedliwe traktowanie”, a także jako spadek „uzasadnionego oczekiwania” zysku.

Uzasadnione oczekiwania odnoszą się do przewidywanych zysków z inwestycji na podstawie sobie znanej kalkulacji. Przypomina się upadek Long

eprasa.pl c41309f7b5

Prawica ładuje ostrą amunicję i nie zawaha się jej użyć

Wróg polityczny – macice i elgiebety



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Pod koniec czerwca urzędnicy ZUS w całym kraju dostali oficjalne wytyczne, zgodnie z którymi wnioski dotyczące małżeństw osób tej samej płci mają przyjmować i realizować tak samo jak w przypadku innych małżeństw. Chodzi o pary, które uzyskały transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa. Równość rodzi się w bólach: państwo polskie wskutek wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z listopada 2025 r. oraz orzeczeń polskich sądów administracyjnych z marca i maja 2026 r. musiało przestać udawać, że zagraniczne małżeństwa jednopłciowe nie istnieją. Donald Tusk, komentując wyrok TSUE z listopada 2025 r., powiedział, że „nikt niczego w tej sprawie nie będzie nam narzucał", jednak później spotulniał. Transkrypcja stała się instrumentem, który pozwala takim parom wejść do polskiego rejestru stanu cywilnego. Mówiąc bardziej precyzyjnie, to nie jest jeszcze równość małżeńska w sensie materialnym, ale nie jest to już też stan całkowitego ignorowania przez państwo.

W trosce o rodzinę

25 czerwca parlament opuścił rządowy projekt ustawy o „statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu". To dziecko kompromisu Nowej Lewicy (która zaczynała od związków partnerskich i zabezpieczenia praw dzieci wychowywanych przez pary jednopłciowe) i PSL (który klepnął te warunki). Projekt okrojono do podpisywanej u notariusza umowy gwarantującej m.in. prawo do informacji medycznej, ulgi podatkowe, wspólne rozliczanie czy organizację pochówku ukochanej osoby. Ludowcy przekonywali, że tylko tak okrojone przepisy mają szansę na powodzenie u prezydenta Karola Nawrockiego. W projekcie nie ma mowy o zmianie nazwiska czy adopcji dzieci przez pary jednopłciowe, czego tak bardzo wystrzega się prawica. Papier nie tworzy relacji prawnych, ale uznaje te, które już istnieją.

Według sondaży ponad połowa Polaków popiera wprowadzenie takiego rozwiązania. Prezydent wielokrotnie deklarował, że będzie się wsłuchiwał w głosy obywateli. Bardzo prawdopodobne, że w tym akurat przypadku zagłuszą je kościelne dzwony. Bepe Wiesław Szlachetka z archidiecezji gdańskiej podczas 35. pielgrzymki Radia Maryja na Jasną Górę podkreślił, że państwo ma się troszczyć o rodzinę. „Wyrazem tej troski nie jest podejmowanie usilnych prób, aby małżeństwem nazywać związek dwóch panów czy dwóch pań i przyznawać im prawo do adopcji dzieci. To jest akt bezprawia wobec dziecka" – wyłuszczył. O tym, że zgoda na formalizowanie związków partnerskich to otwarcie furtki i pierwszy etap w dążeniu do pełnej instytucjonalizacji i adopcji dzieci, od miesięcy do twardego rzygu przekonują politycy Konfederacji i sam prezes PiS Jarosław Kaczyński. Jeszcze w kampanii prezydenckiej adopcji bachorząt przez dwóch tatusiów czy dwie mamusie sprzeciwił się Rafał Trzaskowski. Bardzo wątpliwe, czy Nawrocki zerwie się z tej smyczy. Projekt może podpisać, zawetować lub odesłać do TK. Trudno zbudować kampanię wyborczą samym szczuciem na Ukraińców…

Gdyby nie upór pierwszej pary małżonków i Unia Europejska, beton by nie skruszał. Działania Lewicy to protezowanie normalności, ale zawsze jakaś aktywność. Polityka to sztuka kompromisu, niekiedy zgniłego. Inaczej w Polsce się nie da: bo koalicjant, bo opozycja, bo prezydent, bo wybory. Podobnie jest z aborcją.

Status quo

Na początku lipca minęły dwa lata, od kiedy po raz ostatni zebrała się sejmowa Komisja Nadzwyczajna do rozpatrzenia projektów ustaw dotyczących prawa do przerywania ciąży. Organ zrzesza 27 posłanek i posłów. Komisji przewodniczy Anna Łoboda z KO, jedną z jej zastępczyń jest Anna Maria Żukowska z Lewicy. „Nie pozostajemy bezczynni jeśli chodzi o udostępnienie takich możliwości dla kobiet" – przekonywał kilka lat temu premier Tusk. Kolejne próby legislacyjne w sejmie pokazały, że w tej kadencji trudno będzie zdobyć większość parlamentarną dla projektów cywilizujących prawa kobiet, czyli legalizujących aborcję do 12. tygodnia ciąży. Tak zrodził się pomysł wprowadzenia wytycznych, dzięki którym glejt od psychiatry wystarczy jako przesłanka do przerwania stanu błogosławionego. W przypadku zagrożenia zdrowia i życia kobiety – bezterminowo, czyli w całym okresie trwania ciąży, przynajmniej w teorii. Odfajkowane.

Ministerialne wytyczne, owszem, nakładają na szpitale kary za odmowę wykonania zabiegu, ale w praktyce publiczna ochrona zdrowia nadal stawia bariery. Uzyskanie papieru od psychiatry i przejście przez szpitalną biurokrację wymaga czasu, który w przypadku przerwania ciąży bywa kluczowy. Wiele kobiet po latach restrykcyjnego prawa nie ufa publicznym lecznicom i woli szukać pomocy w miejscach prowadzonych przez aktywistki, bez strachu przed ocenianiem czy odmową. Nastolatki w Polsce na jakikolwiek zabieg medyczny potrzebują zgody rodziców lub sądu rodzinnego. W sytuacjach gdy dziewczyna nie może liczyć na wsparcie opiekunów, polski system pokazuje jej środkowy palec. Trzeba wyjechać za granicę. Nie bez powodu drzwi w warszawskiej przychodni AboTak (prowadzonej przez Aborcyjny Dream Team) nie zamykają się, a tabuny kobiet szukają ratunku u ginekolog Gizeli Jagielskiej. Z tego samego powodu kobiety, które wyręczają państwo polskie, od miesięcy są beneficjentkami wpierdolu: słownego, fizycznych napaści, szykan, gróźb powszechnie uznawanych za karalne. Policja spisuje, politycy ślą słowa potępienia, impreza zaczyna się od nowa. Trudno uwierzyć, że szef rządu nie potrafi skutecznie wyegzekwować jedności w głosowaniu, ale cóż… począć? Niewiele można zrobić, bo prawo do zgromadzeń, bo koalicjant, bo wybory. Z tym ostatnim punktem najgorzej. Kadencja Nawrockiego kończy się w 2030 r., przynajmniej pierwsza. Nie bardzo jest już co obiecać, na chuj więc bodaj próbować coś zmienić? Geje, lesby i pospolite macice wylecą z obiegu i wpadną pod kosiarkę prawicy.

Gilotyna

Instytut Ordo Iuris wziął się za przygotowanie platformy programowej, która będzie punktem wyjścia „spójnego planu odnowy Państwa – łączącego patriotyczną prawicę ponad podziałami".

Katoliccy fundamentaliści już we wrześniu, na pół roku przed kampanią wyborczą i na rok przed wyborami, rozpoczną publiczne konsultacje programowe. W celu – jak to zgrabnie ujęto – wypracowania filarów odnowy państwa i katalogu reform, których wdrożenie będzie ożywczym impulsem dla ojczyzny.

Oto kilka propozycji: projekt ustawy o ochronie suwerenności i praworządności wraz z weryfikacją działalności prawodawczej Unii Europejskiej; projekt ustawy o ochronie życia wykonujący orzecznictwo TK i kończący „zbrodniczą praktykę aborcji selektywnej oraz działalność aborcyjnych grup przestępczych"; projekt ustawy o ochronie małżeństwa, usunięcie bezprawnych transkrypcji i zakaz adopcji przez osoby pozostające w związkach jednopłciowych. No i créme de la créme: projekt uchwał sejmu o pociągnięciu do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu premiera i ministrów odpowiedzialnych za sprzeczne z konstytucją aborcyjne „wytyczne Leszczyny" i za odmowę wykonywania ostatecznych wyroków i zarządzeń Trybunału Konstytucyjnego.

Co więcej, środowiska prawicowe już robią mrówczą robotę. Niespełna dwa tygodnie temu z Facebooka zniknęły profile Aborcyjnego Dream Teamu, Strajku Kobiet. przychodni AboTak, Legalnej Aborcji i Women Help Woman Polska. Aktywistki zgłosiły sprawę Komisji Europejskiej. Algorytmy Mety są bezwzględne, ale nie ma się co oszukiwać, to efekt skoordynowanej akcji zgłaszania profili. Środowiska konserwatywne i antyaborcyjne regularnie wysyłają raporty o „łamaniu prawa" lub „szerzeniu nienawiści" przez grupy pro-choice. Gdy system otrzymuje lawinę zgłoszeń w krótkim czasie, zawiesza konto bez weryfikacji kontekstu przez człowieka. Również dwa tygodnie temu prawicowe i katolickie media na komendę obsiadły jak muchy Lubuskie Stowarzyszenie na Rzecz Kobiet BABA. Zarządzane przez KO i Lewicę Ministerstwo Sprawiedliwości przyznało organizacji dotację z Funduszu Sprawiedliwości w wysokości blisko 1,2 mln zł. Według prawusów – na promocję aborcji. Gówno prawda. Przyznane pieniądze zostaną przeznaczone na statutową, bezpłatną pomoc psychologiczną i prawną dla kobiet doświadczających przemocy. Założycielką i wieloletnią prezeską BABY była Anita Kucharska-Dziedzic, aktualnie posłanka Nowej Lewicy. Prawica uznała to za przepychanie publicznej kasy do swoich. Zassało aż strach. Z Kucharską-Dziedzic można i niekiedy należy się nie zgadzać, ale BABA od lat robi dobrą robotę. Prawa strona sukcesywnie ryje też pod Gizelą Jagielską. Po sieci krąży petycja Kai Godek, by odebrać lekarce prawo wykonywania zawodu. Kolejna, również jej autorstwa, wzywa do uwalenia przesłanki psychiatrycznej jako wskazania do aborcji. Mają tysiące podpisów. „Najbliższe 16 miesięcy przyniesie dynamiczną debatę publiczną, która może albo rozsadzić obóz konserwatywny, albo scementować go wokół wspólnych idei, wartości i projektów" – pisze na zakończenie maila z „dobrą nowiną" prezes Instytutu Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski. Gdy nasi śpią, prawa strona ładuje magazynki.

IDALIA DUBICKA

Term Capital Investement, założonego przez amerykańskich laureatów tzw. ekonomicznego nobla M. Scholesa i R.C. Mertona. A mieli oni raz na zawsze rozwiązać problem niezawodności i wydajności rynków finansowych!

W 1987 r. zadebiutował pozew oparty na mechanizmie ISDS. Od tego czasu do końca roku 2023 sądy arbitrażowe rozpatrzyły 1332 spraw. Spośród 958 zakończonych – niespełna 38 proc. państw udało się oddalić pozwy swoich pijawek. Tylko 28 proc. pretensji inwestorów sądy uwzględniły. Pozostałe zakończyły się ugodą.

Co znamienne, 47 proc. wszystkich pozwów – 624 – zostało wytoczonych przez pięć państw byłych kolonizatorów: Francja – 67 pozwów, Niemcy – 84, Zjednoczone Królestwo – 109, Niderlandy – 132, USA – 232.

Co jeszcze bardziej znamienne, pozwy ISDS są przywilejem wielkich korporacji: 94 proc. sumy odszkodowań przyznanych przez arbitrów zostało do korporacji o rocznych przychodach powyżej miliarda dolarów lub do osób posiadającym majątek ponad 100 mln dolarów.

Jest to możliwe, gdyż postępowania w ramach ISDS nie są rozstrzygane przed sądami krajowymi. Rozstrzygają je natomiast międzynarodowe trybunały arbitrażowe. Działają one na podstawie norm tworzonych przez polityczne marionetki biznesu. Takie obowiązują np. w Międzynarodowym Centrum Rozstrzygania Sporów Inwestycyjnych (ICSID), które należy do grupy Banku Światowego. Z kolei prawnicy zaangażowani do rozpraw pochodzą z największych prywatnych kancelarii krajów Zachodu.

Jaka jest faktyczna pozycja w globalnym kapitalizmie „20. gospodarki świata"? Czyżby prawdziwymi władcami „suwerennego" kraju byli atlantyccy przyjaciele i dyspozytorzy rosnących zysków? Ale kto im „powierzył" wewnętrzny rynek, oddał do dyspozycji sektor bankowy, zastąpił fabryki montowniami, i sprzedawał je za cenę działek? To bowiem neoliberalne reformy Augiaszy Balcerowicza i Lewandowskiego podporządkowały kraj mechanizmom służącym ekstrakcji wartości dodatkowej przez oligarchię finansową świata.

Mija milenium dostaw z kraju między Bugiem a Odrą niewolników, drewna, zboża, całej palety usług dla zagranicznego biznesu. Tylko Bolesława Chrobrego zastępuje Cienki Bolek.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

Przedawnienia, uniewinnienia, zawieszenia

Korpokibole – cd.

Mamy wreszcie pierwszy finał w jednym z dwóch procesów w sprawie zorganizowanej przestępczości wśród podlaskich kiboli. Po, bagatela, 13 latach od rozpoczęcia policyjnej i prokuratorskiej obławy na hasło „Idziemy po was!", rzucone publicznie przez europosła KO Bartłomieja Sienkiewicza, wówczas szefa resortu spraw wewnętrznych.

Od wyroku Sądu Okręgowego w Białymstoku z 2024 r., przed którym stanęło 46 kiboli oskarżonych o propagowanie faszyzmu, stręczycielstwo i organizowanie ustawek, czyli mordobić w stylu młodego Karola Nawrockiego, odwołało się 31 z nich. Na swoją kolej, przypomnijmy, w odrębnym procesie czeka następnych dwudziestu paru fanatyków Jagiellonii Białystok („NIE", nr 26/2026).

Sąd Apelacyjny w Białymstoku w wyroku wydanym 10 lipca większość kar zasądzonych w pierwszej instancji znacząco obniżył, więc postarzałe po kilkunastu latach „karki" dostały tylko od roku do dwóch lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata. Tylko jeden z nich pójdzie pierdzieć w pasiaki na cztery lata i tę karę potwierdzono raz jeszcze w apelacji.

Sędzia Jerzy Szczurewski podczas uzasadniania wyroku podkreślił, iż sprawa, w której orzeka, to porażka wymiaru sprawiedliwości. Czas bowiem zrobił swoje:

obecne kary to „wynik zestawienia przedawnień i uniewinnień z obecnym wiekiem oskarżonych i ich niekaralnością".

Dotyczy to m.in. propagowania faszyzmu i nawoływania do nienawiści na tle narodowościowym. W tym miejscu Szczurewski niegdysiejszym wyznawcom White Power polecał refleksję nad ich własną osobistą przeszłością. – Bo jeżeli nie – zasugerował – to polecam wycieczkę do Oświęcimia, Majdanka, Stutthofu i innych tego typu miejsc. A jeżeli to nie wystarczy, to pojedźcie tam z dziećmi i po wycieczce po tych muzeach zapytajcie, co o tym sądzą i nie ukrywajcie tego, że był okres w życiu, że sympatyzowałem z ideami tych ludzi, którzy te obozy stworzyli.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W przeciwieństwie jednak do sędziego Szczurewskiego, nie mamy złudzeń. Pokorna postawa i maślane oczy na procesie to strategia przetrwania, a nie wewnętrzna przemiana oskarżonych. Po „ciapatych" przyjdzie kolej na Ukraińców. Już przyszła. Tylko czekać, kiedy kibolom podrosną osobiste dzieci już teraz regularnie prowadzane na mecze ukochanego piłkarskiego klubu.

JMP

eprasa.pl c41309f7b5

SŁOWO CZERWONE

Imperia utknęły

Jestem pacyfistą, ale…

Większość klasy politycznej popiera olbrzymie wydatki zbrojeniowe Polski, utrzymując, że zagraża nam atak Federacji Rosyjskiej. Tylko Konfederacja Korony Polskiej twierdzi, że ze strony Rosji nam nic nie zagraża – wciąż popierając wzrost wydatków zbrojeniowych. Przeciwko komu więc Polska musi wydawać te miliardy na zbrojenia, skoro nie ma w perspektywie obrony przed Rosją?



Rys. MARCIN CHUDZIK

Skrajna prawica i prawica w ogóle przeciwstawia się udzielaniu przez Polskę pomocy Ukrainie, która broni się teraz przed napaścią Rosji. Narracja jest oczywista: chodzi o to, by nie przeszkadzać Putinowi w zajęciu Ukrainy, bo Ukraina jest zła, a Rosja dobra.

Napaść na Ukrainę to pogwałcenie prawa międzynarodowego. Tak jak napaść USA na Iran. Zgoda na łamanie prawa to uznanie, że silniejszy może wszystko. Że kiedy nas napadną, inni ograniczą swe reakcje do słów ubolewania. A jednak kraje europejskie nie wsparły USA w wojnie z Iranem, podobnie jak nie stały z założonymi rękami, kiedy Putin spróbował podbić Ukrainę. Mimo wszystko stanęły na gruncie zasad prawa międzynarodowego. I to jest pocieszające.

Część lewicy europejskiej, która stoi po stronie Rosji, żeby tylko nie być po stronie USA, powołuje się na argumenty pacyfistyczne. Zgadzam się.

Wojna jest zła, ale nikt nie ma prawa odbierać Ukraińcom prawa do obrony suwerenności swojej ojczyzny.

Bo naprawdę zła jest wojna napastnicza. Teraz zresztą, kiedy Trump wycofuje krok po kroku gwarancje bezpieczeństwa dla Europy i przestał już wspierać Ukrainę, ciężar pomocy temu krajowi spadł na Europę. Trump wielokrotnie próbował nakłonić Zełenskiego, żeby oddał bez walki Donbas w zamian za pokój. Tak jeden imperialista podaje rękę drugiemu imperialiście.

Oczywiście, że pokój jest ważny, ale pokój sprawiedliwy.

Wojna rosyjsko-ukraińska i wojna w Zatoce Perskiej nakręciły wyścig zbrojeń. Kraje Zatoki, Izrael i kraje Europy Wschodniej, w tym Polska ustawiły się w długiej kolejce po pociski Patriot i inne elementy uzbrojenia, których brakuje, bo Amerykanie wystrzelali się z nich przeciwko Iranowi. My jesteśmy na końcu kolejki, a kolejka jest na jakieś 10 lat. Jeżeli więc chcemy czuć się bezpieczni, musimy wymyślić jakieś europejskie pociski – i to równie skuteczne jak amerykańskie.

Tylko czy na pewno?

Czy nieustanny wyścig zbrojeń kosztem zaspokajania ważnych potrzeb społecznych, takich jak ochrona zdrowia, sprawi, że będziemy bezpieczniejsi?

Co inteligentniejsi już spostrzegli, że sposobem na uniknięcie agresji jest posiadanie broni jądrowej. Korea Północna ma tę broń i nikt nie śmie jej napaść, choć parę powodów, z zakresu praw człowieka, by się znalazło. Chińczycy właśnie wystrzelili na olbrzymią odległość pocisk z atrapą ładunku jądrowego, żeby ostrzec USA i całą resztę, że też należą do atomowego klubu i mogą w każdej chwili wystrzelić bombę atomową na teren Stanów Zjednoczonych. Chińskie zbrojenia dały Amerykanom do myślenia, co sprawiło, że wstrzymali dozbrajanie Tajwanu.

Kiedy istniała równowaga strachu, toczył się proces rozbrojenia, zawierano porozumienia o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, a także konwencje o niestosowaniu szczególnie przerażających rodzajów broni – jak choćby napalm czy broń fosforowa, o minach przeciwpiechotnych nie wspominając. Ale teraz przyszedł czas wojen konwencjonalnych, które toczą również potęgi nuklearne. Przyszedł czas, w którym każdy, kto chce uniknąć agresji, musi mieć Bombę.

Amerykanie, dla których głównym wrogiem w ich grach strategicznych była Rosja, nie wykluczają też w swojej strategii wojennej wojny z Chinami. Zużycie tylu pocisków Tomahawk czy Patriot w wojnie z Iranem sprawiło, że jankescy stratedzy wyrażali niepokój: czym będziemy walczyli, gdy kolej przyjdzie na Chiny?

USA, które zaczynają przegrywać globalną rywalizację z Państwem Środka, zaczynają stawiać już prawie wyłącznie na swą przewagę militarną. Jednak brak sukcesu z państwem stosunkowo niewielkim, takim jak Iran, stawia pod znakiem zapytania tę przewagę. Nie wyszła najpierw wojna celna z Chinami, teraz brak perspektyw na sukces militarny. A przejęcie Tajwanu może spowodować wielką przewagę technologiczną Chin, bo Tajwan jest prawie monopolistą w wytwarzaniu najnowocześniejszych półprzewodników.

Jestem pacyfistą. A jednak wygrana potęg imperialnych w ich wojnach napastniczych może wywołać reakcję łańcuchową kolejnych wojen napastniczych na świecie. Wiadomość, że ani Rosja, ani Ameryka nie są w stanie podeptać mniejszych od siebie krajów, jest bardzo dobra. Zniechęca potencjalnych napastników do agresji.

Mimo wsparcia Chin dla Rosji i Zachodu dla Ukrainy wojna między tymi państwami pozostanie nierozstrzygnięta. To absurdalna rzeź, w której po obu stronach bezsensownie giną ludzie. Ale to Putin, nie Zełenski ma tę krew na rękach.

Ukraina nie jest moim ulubionym państwem. Jest skorumpowana. Ma kolaborantów i zbrodniarzy z UPA jako swój mit założycielski, ale to nie odbiera jej prawa do obrony. Kiedy zaczęła się wojna przyjęliśmy do biura Ruchu Sprawiedliwości Społecznej Marinę z trójką dzieci. Te dzieci przestały już rozmawiać z matką po rosyjsku. Przeszły na ukraiński. Tożsamość narodowa milionów ludzi stała się z nieokreślonej – ukraińska. Napaść rosyjska stworzyła naród i ten naród dzielnie walczy.

Kraj biorący udział w konflikcie zbrojnym nie będzie przyjęty ani do NATO ani do Unii Europejskiej. Ale kiedyś wojna się skończy i wtedy Ukraina wejdzie do Unii i odegra w niej ważną rolę z uwagi na swój wielki potencjał rolniczy, przemysłowy, a teraz i militarny. Nic na to nie poradzimy. Musimy się więc z Ukrainą układać, póki pomagamy, póki jesteśmy potrzebni. Takie są realia.

Niektórzy sądzą, że do tego nie dojdzie ze względu na nasze zranione uczucia związane ze zbrodnią wołyńską. Mylą się – w polityce liczą się interesy. A Unia powiększona o Ukrainę będzie silniejsza. A o to w tym wszystkim chodzi.

PIOTR IKONOWICZ

Jestem pacyfistką. Kropka.

Polemizuję z Ikonowiczem

Przez dwie dekady pracy w gazecie kierowanej przez Jerzego Urbana ani razu nie usłyszałam, że naczelny odrzuca mój tekst, bo się z nim nie zgadza. Dlatego, że jest gówniany, nudny, źle napisany – owszem, ale nigdy dlatego, że Urban sądzi inaczej. Wierna naukom mojego niedoścignionego mistrza szanuję odrębność opinii Autorów „NIE" i nie selekcjonuję ich tekstów pod kątem tego, czy myślą tak jak ja. Czasem jednak po prostu muszę się odciąć. Tak jest w przypadku tego felietonu Piotra Ikonowicza.

„Olbrzymie wydatki zbrojeniowe" – od których Piotr zaczyna – uważam za zło zerojedynkowe. Ich koszty ponoszą ludzie pracy; niebogaci obywatele, którzy polegają na publicznej służbie zdrowia, oświacie, na wszelkiego rodzaju socjalnych funkcjach państwa. Zarabiają na nich wyłącznie koncerny zbrojeniowe – i to w znacznym stopniu amerykańskie, albowiem firmy europejskie po prostu nie mają w asortymencie broni, jaką europejscy przywódcy postanowili na gwałt kupować. Z tekstu Piotra tak naprawdę nie wynika, jaki ma on stosunek do tego militarnego amoku zakupowego – wynika jedynie, że źle myśli o Konfederacji Korony Polskiej. Umówmy się, że to oczywiste, OK?

Zaskoczenie wzbudziła we mnie pobrzmiewająca w tekście Piotra pochwała zbrojeń atomowych. „Przyszedł czas, w którym każdy, kto chce uniknąć agresji, musi mieć Bombę" – pisze Piotr, przywołując jako przykład Koreę Północną. Na świecie jest 13 tys. głowic atomowych, ich utrzymanie kosztuje 119 mld dolarów rocznie – i jest to absolutne marnotrawstwo; arsenał, który nigdy nie zostanie użyty, przynajmniej jeśli chcielibyśmy zachować życie na Ziemi. Pomysł jego rozwijania wydaje mi się absurdalny. A sugestia, że Polska także powinna dążyć do pozyskania bomby atomowej, szczerze mnie przeraża.

Kategorycznie nie zgadzam się z frazą, iż prawicowa „narracja jest oczywista: chodzi o to, by nie przeszkadzać Putinowi w zajęciu Ukrainy, bo Ukraina jest zła, a Rosja dobra". Nikt w Polsce nie mówi, że „Rosja jest dobra"; nikt nie mówi, że jest za tym, żeby Rosja zajęła Ukrainę. Tego typu zabieg stylistyczny wpisuje się w obowiązującą merytorykę sporu między obozem rządzącym i opozycją: „Wy jesteście onuce! Nie, to wy jesteście onuce!".

Ikonowicz pisze też: „Część lewicy europejskiej, która stoi po stronie Rosji, żeby tylko nie być po stronie USA, powołuje się na argumenty pacyfistyczne". Nie znam żadnego lewicowego polityka, który „stałby po stronie Rosji" w jej agresji przeciwko Ukrainie. Są tacy – jak Jeremy Corbyn czy Janis Warufakis – którzy stoją po stronie pokoju, przeciwko prowojennym elitom, kiedy te radośnie posyłają coraz większe ilości broni w obszar konfliktu zbrojnego, twierdząc, że w ten sposób walczą o pokój, a jednocześnie robiąc wszystko, żeby rozmowy pokojowe uniemożliwić. Z drugiej wszakże strony: tak, uważam, że ludzie lewicy w żadnej sprawie nie mogą być po stronie kapitalistycznego imperium zła, jakim są Stany Zjednoczone. I Piotr też tak uważał przez całe dekady.

Ikonowicz pisze też: „Wojna jest zła, ale nikt nie ma prawa odbierać Ukraińcom prawa do obrony suwerenności swojej ojczyzny".

Po pierwsze: wojna jest zła, bez żadnego „ale". Po drugie: Ukraińcy oczywiście mają „prawo" do obrony suwerenności – pytanie brzmi, czy mają prawo domagać się od społeczeństw Zachodu, żeby za to płaciły.

Bo tak to dziś wygląda. To nie złożone z podżegaczy wojennych elity płacą za tę wojnę, tylko klasy pracujące w ich krajach.

Drugie – i ważniejsze – pytanie brzmi: kto to są „Ukraińcy"? Ci młodzi mężczyźni, porywani przez zbirów na ulicach i siłą wcielani do wojska? Ich osierocone rodziny? Obecne badania Gallupa wskazują, że walczyć aż do zwycięstwa chce 24 proc. Ukraińców; 66 proc. chce negocjacji na rzecz jak najszybszego zakończenia wojny. Kiedy Piotr ogłasza „Oczywiście, że pokój jest ważny, ale pokój sprawiedliwy" – mówi głosem Zełenskiego, Merza i Tuska, a nie głosem obywateli Ukrainy. Strasznie dużo zresztą tych „ale" w Piotrowych antywojennych deklaracjach.

Czynione przez Ikonowicza porównania Rosji i USA są cokolwiek bałamutne: „kraje europejskie nie wsparły USA w wojnie z Iranem, podobnie jak nie stały z założonymi rękami, kiedy Putin spróbował podbić Ukrainę"… Może jednak nie „podobnie": wobec Rosji europejskie elity wyciągnęły wszystkie działa, łącznie z fizycznymi działami posyłanymi na Ukrainę, do tego dorzuciły 20 pakietów sankcji, zerwanie wszelkich relacji handlowych (ze szkodą dla własnych gospodarek), zamrożenie aktywów i dziesiątki drobnych złośliwości, takich jak wykluczenie rosyjskich sportowców z zawodów czy kara dla Biennale w Wenecji za przywrócenie rosyjskiego pawilonu. Wobec USA zdobyły się na ostrożną odmowę wzięcia bezpośredniego udziału w nielegalnej agresji. Trudno nie dostrzec w tym podwójnych standardów.

Piotr Ikonowicz jest moim przyjacielem od trzech dekad. Szanuję go, podziwiam jego absolutny i niezłomny instynkt stawiania po stronie słabszego, kiedy silniejszy go bije. W takim sensie rozumiem emocje, z jakimi napisał ten tekst. Jednak, w mojej opinii, myli się w nim głęboko właściwie w każdej sprawie.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Krwawy senator

Moje rozliczenie z Grahamem

Gdy 9 lipca 2026 r. Lindsey Graham odszedł z tego świata, nie poczułem ani krzty żalu. Wiem, że nie wypada mówić źle o zmarłych, ale ten człowiek zasługuje na miejsce w piekle, a nie w podręcznikach historii jako „zasłużony senator". Dla mnie Graham to symbol wszystkiego, co najgorsze w amerykańskiej polityce – ktoś, kto patrzył na umierające dzieci w Gazie i mówił o tym jak o sprzątaniu ulic. I żeby była jasność – nie przesadzam, nie używam metafor. On naprawdę powiedział „zabijcie ich wszystkich" i ani razu się z tego nie wycofał.

Pamiętam, jak oglądałem jego wystąpienia w telewizji i czułem, że słucham kogoś, kto postradał zmysły. Mówił o Hamasie jak o zarazie, którą trzeba wypalić, ale w praktyce jego słowa oznaczały jedno: zgładzić każdego Palestyńczyka, który stanie na drodze. Nie przeszkadzało mu, że giną kobiety, lekarze, dziennikarze. Dla niego wszyscy byli winni, bo urodzili się po złej stronie muru. I co mnie najbardziej wkurzało? Że on to wszystko owijał w religijne opakowanie. Cytował Biblię, mówił o boskim prawie Izraela do obrony, a ja widziałem tylko zwykłego handlarza śmiercią, który liczył zyski z przemysłu zbrojeniowego.

Jego relacja z Netanjahu to była chora miłość. Graham nie był sojusznikiem – był psem na smyczy izraelskiego premiera. Cokolwiek Netanjahu chciał, Graham przynosił to na tacy: więcej bomb, więcej rakiet, więcej żołnierzy. Nawet gdy Izrael sam chciał ograniczyć pomoc, Graham interweniował i zmuszał Amerykę do wysyłania kolejnych miliardów dolarów na broń. A przy okazji groził Iranowi, że zmiecie go z powierzchni ziemi. I mówił to wszystko z tym swoim charakterystycznym uśmieszkiem, jakby opowiadał o pogodzie, a nie o wymazywaniu całych narodów z mapy. Co więcej,

Graham miał czelność porównywać Gazę do Hiroszimy i Nagasaki. Sugerował, że bomba atomowa na zatłoczonym terenie to dobry pomysł, bo przecież „wojna jest brutalna".

Dla niego 100 tys. zabitych Palestyńczyków to była tylko statystyka, a zrujnowane szpitale – efekt uboczny. Kiedy dziennikarze pokazywali mu zdjęcia dzieci wyciąganych z gruzów, on odwracał wzrok i mówił o „radykalizacji", która rzekomo usprawiedliwia wszystko. Ja w to nie wierzę i nigdy nie uwierzę. Można nienawidzić Hamasu, ale nie można nienawidzić całego narodu. Chyba że jest się kimś takim, jak Lindsey Graham.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W lipcu 2024 r., gdy świat protestował przeciwko ludobójstwu w Gazie, Graham opublikował wpis, w którym nazwał Palestyńczyków „najbardziej zradykalizowaną populacją na planecie". Porównał palestyńskie hasło „Od rzeki do morza" do „ostatecznego rozwiązania", a Hamas nazwał „SS na sterydach". To manipulacja, która miała usprawiedliwić zbrodnie – jeśli wróg jest „nazistowski", to wszystko jest dozwolone. I Graham doskonale o tym wiedział.

Teraz, po jego śmierci, słyszy się w Ameryce jakieś grzecznościowe przemówienia, ale ja mówię wprost: świat stał się odrobinę lepszy. Obiecuję sobie, że nigdy nie przestanę o nim mówić jako o zbrodniarzu. Bo takie właśnie zostawił po sobie dziedzictwo – nie polityka, nie stratega, tylko kata w krawacie, który z zimną krwią wspierał ludobójstwo i nawoływał do kolejnych wojen. Iran nazwał go „kupcem śmierci" i to chyba najtrafniejsze określenie, jakie można było mu przypisać.

Niech jego nazwisko będzie przestrogą – dla tych wszystkich, którzy myślą, że polityka to gra, a ludzkie życie to pionek na szachownicy. Graham udowodnił, że można być senatorem i potworem jednocześnie, a przy tym nigdy nie ponieść kary. Jego śmierć to nie sprawiedliwość, to tylko koniec pewnego etapu. Ale pamięć o jego słowach i czynach pozostanie, przynajmniej dopóki ja i ludzie podobni do mnie będą o tym głośno mówić. I nie zamierzam przestać.

OMAR FARIS

eprasa.pl c41309f7b5

Jak pożegnaliśmy Polskę Ludową



Na 22 lipca – lektura okolicznościowa

To Rakowski w 1987 r. zaproponował: „Pora już przytulić Wałęsę!”, pomysł spotkania przy Okrągłym Stole należał do Kiszczaka, ze strony obozu rządowego wyszło hasło „podzielenia się władzą”. Obóz solidarnościowy miał w istocie jeden tylko postulat – legalizacji Solidarności jako związku zawodowego.

Paweł Dybicz ma rękę do wywiadów. Dwa lata temu w wydawnictwie „Przeglądu” opublikował fenomenalny wywiad rzekę z profesorem Andrzejem Romanowskim. Teraz w oficynie Iskry ukazała się jego książka „Pożegnanie z Polską Ludową”, na którą składa się 15 rozmów z uczestnikami procesu ustrojowej transformacji PRL w latach 1988–1992.

Rozmówców Dybicz dobrał starannie z tej frakcji PZPR, która wspierała generała Wojciecha Jaruzelskiego w procesie ustrojowej transformacji, a jak się okazało – likwidacji Polski Ludowej. Wśród nich jest kilku członków najwyższego kierownictwa PZPR, z profesorem Januszem Reykowskim i Leszkiem Millerem na czele, większość ówczesnych sekretarzy KC PZPR, kilku kluczowych kierowników wydziałów KC oraz ministrów ostatniego rządu PRL. W tym gronie znalazła się też bezpartyjna profesor Ewa Łętowska, pierwszy w historii PRL rzecznik praw obywatelskich. Pasowała do tego zespołu, gdyż stworzyła prawdziwie wzorcowy model tego urzędu. W sumie była to starannie dobrana i – jak sądzę – miarodajna reprezentacja tego środowiska politycznego, które zdecydowało o likwidacji Polski Ludowej.

Początek końca

Jak zwykle u Dybicza równie staranne i przemyślane były pytania. Zaczynały się w każdym przypadku jednakowo: od pytania kiedy i dlaczego rozmówca doszedł do wniosku, że czas Polski Ludowej dobiegł końca. Ja także zostałem przepytany przez Dybicza, odpowiadałem za siebie i nieżyjącego przyjaciela i powiernika profesora Jaremę Maciszewskiego, wybitnego historyka I RP. Obydwaj doszliśmy do wniosku, że czas Polski Ludowej zbliża się ku końcowi, już pod koniec rządów ekipy gierkowskiej, jeszcze przed festiwalem Solidarności. Braliśmy pod uwagę historię, z której wynikało, że życie porewolucyjnych państw zwykle trwa od kilkunastu do 40 lat. Zgadzaliśmy się z Jaremą, że początek końca formacji, której hegemonem był ZSRR, rozpocznie się w mateczniku. Przewidywanie to się sprawdziło.

Większość rozmówców wnioskowała o końcu PRL dopiero po festiwalu Solidarności i w czasie stanu wojennego. Zdumiało mnie, że jedynym, który do końca nie liczył się z upadkiem tego państwa, był Andrzej Gdula, sprawujący cywilną – czyli partyjną – kuratelę nad policją polityczną. Najwidoczniej odpowiadało to nastrojom środowiska, które nadzorował. Ale nie kierownictwa MSW, to bowiem od początku było zaangażowane w przygotowywanie procesu ustrojowej transformacji. Jednak to kierownictwo po czystkach personalnych Jaruzelskiego składało się nie z bezpieczniaków, ale z wojskowych, na czele z generałem Kiszczakiem, prawą ręką Jaruzela.

Inne moje zaskoczenie dotyczyło motywacji. Większość indagowanych doszła do wniosku, że czas Polski Ludowej dobiega końca na podstawie motywów technokratycznych, a nie ideowo-politycznych. Nie czuli się znużeni i skrępowani zależnością od ZSRR, czyli Jałtą. Niepokoiło ich głównie zapóźnienie rozwoju społeczno-gospodarczego w stosunku do Zachodu.

Były takiego myślenia racjonalne przesłanki. Kreml, po stanie wojennym uspokojony strategicznie co do polskiej rebelii, przestał się politycznie szarogęsić – w każdym razie w sposób rzucający się w oczy, ograniczał się do nacisków na Jaruzelskiego. Na tym tle pozostawanie w tyle za Zachodem stawało się bardziej dokuczliwe.

Frustracja technokratyczna

Jako historyka uderzyła mnie w tych rozmowach Dybicza ich wartość źródłowa. Wnoszą ogrom wiedzy w sprawie szczegółów procesu transformacji, często ważnych i mało znanych. Rozwiewają też sporo nieporozumień. Nie wyłączając zdarzeń anegdotycznych.

Jedno – opisane na ostatniej stronie książki – krótko zrelacjonuję, gdyż jest pouczające. W czasie Okrągłego Stołu Adam Michnik i Sławomir Wiatr pracowali w jednym zespole tematycznym, w tak zwanym podstoliku, i wdali się w gorącą dyskusję na jakiś temat. Ponieważ pora była obiadowa, zdecydowali kontynuować przy obiedzie i udali się do pobliskiej restauracji „Ambasador”, wciąż debatując. Sala, o tej porze pełna, słuchała tej debaty z zainteresowaniem. Gdy doszło do płacenia rachunku okazało się, że obaj zostawili w sejmie marynarki z portfelami. Była chwila konsternacji i ustalania, kto przyniesie kasę. Okazało się to zbędne, połowa sali pospieszyła z odsieczą i zadeklarowała gotowość pokrycia niezbyt dużego rachunku. Okrągły Stół cieszył się wtedy, jak widać, znaczną popularnością.

Prawie wszyscy rozmówcy Dybicza deklarują – jak sądzę, zgodnie z prawdą – że już w czasie festiwalu Solidarności lub niewiele później nabrali przekonania o zbliżającym się końcu Polski Ludowej. Jednak te motywacje technokratyczne na rzecz transformacji ustrojowej mnie osobiście zaskoczyły. Argument zależności od ZSRR – czyli Jałty – jeśli już padał, to z powołaniem się na Jaruzelskiego i jego kontakty z Gorbaczowem. Od siebie mówią głównie o gospodarczym, technicznym i socjalnym zacofaniu Polski w porównaniu z Zachodem. To ich bolało i to ich do Polski Ludowej zniechęciło, choć w większości doceniali jej dorobek. Najpiękniej wyraził to Gabrielski, kończąc dłuższy o tym wywód powołaniem się na Józefa Tejchmę: „Dla mnie Polska Ludowa to po prostu Polska!”. Wydaje się, że rządzący wówczas Polską dotkliwie odczuwali sprzeczność polskiej sytuacji: terytorialnie i cywilizacyjnie (infrastrukturą połowy kraju) przesuniętej na zachód, politycznie zaś uwiązanej na wschodzie. Od kiedy Gierek otworzył Polskę na Zachód, ten efekt demonstracji mocniej doszedł do głosu.

Klęska twardogłowych

Rozmówcy Dybicza jednoznacznie obalają dzisiejsze przechwałki solidarnościowców i potwierdzają, że protransformacyjny nastrój w szeregach PZPR nie był skutkiem presji Solidarności; strajki 1988 r. rządzących nie przeraziły i niczego na nich nie wymusiły. Inicjatywa rozpoczęcia zmian politycznych należała do nich samych.

Pamiętam, że jesienią 1988 r. Włodzimierz Wesołowski zaprosił mnie na podwarszawskie spotkanie socjologów ku uczczeniu pamięci Janka Strzeleckiego. Było to kilka dni przed zapowiedzianą telewizyjną dyskusją Miodowicza z Wałęsą. Obecne tam dość licznie moje znajome z „demokratycznej opozycji” zaskoczyły mnie pesymizmem w sprawie tego spotkania. Obawiały się sukcesu Miodowicza. Uspokoiłem je, gdyż byłem pewny, że Wałęsa będzie górą: on będzie czuł się swobodnie i przez to będzie przekonywający – w odróżnieniu od Miodowicza skrępowanego świadomością nadzoru Jaruzelskiego i towarzyszy. Tak też wyszło.

Czytając wywiady Dybicza, trzeba pamiętać, że jego rozmówcy to tylko część ówczesnego establishmentu PZPR: ta reformatorska, bliska Jaruzelskiemu. Była też inna część, dość liczna i wpływowa, która obawiała się ustrojowych eksperymentów, zwłaszcza legalizacji Solidarności i w ogóle pomysłu z okrągłym stołem.

Pod koniec 1988 r. dochodzi do konfrontacji na posiedzeniu KC. Wygląda na to, że twardogłowi w sprzeciwie wobec otwarcia na Solidarność wezmą górę. Opór ich pokonuje dramatyczny, jak na ówczesne obyczaje, gest. Groźba dymisji Jaruzelskiego, Rakowskiego, Kiszczaka i Siwickiego. Tak wymuszono na Komitecie Centralnym PZPR zgodę na okrągły stół i odblokowanie Solidarności.

Ta ostatnia zachowuje się w dyskusjach przy tym stole zdumiewająco prosocjalistycznie. Jak się okazało, obłudnie. Uchwala program bardzo postępowy, pośredni, coś w rodzaju „socjalizmu z ludzką twarzą” – niestety w ówczesnych warunkach nie do zrealizowania. Czy uchwala szczerze? Rozmówcy Dybicza są podzieleni, znaczna ich część nie ufa stronie solidarnościowej, spodziewa się z jej strony nielojalności. Ale to jej nie peszy. Sytuacja międzynarodowa jest dla Okrągłego Stołu przychylna. Dominuje atmosfera zakończenia zimnej wojny, reform Gorbaczowa, obaw administracji USA, aby coś tej wielkiej odwilży nie zmroziło. Ponadto w środowisku Jaruzelskiego, w tej frakcji która sprawuje w PZPR władzę, obserwuje się skłonność do znacznego przeceniania własnych wpływów społecznych.

Nasze błędy, ich nielojalność

W programie „dzielenia się władzą” władza popełniła dwa błędy, które prawie załamały realizację tego programu. Dość bezmyślnie i niepotrzebnie ryzykownie pomyślano listę krajową w wyborach sejmowych oraz ordynację większościową w wyborach do senatu.

W tej ostatniej sprawie ostrzegałem obóz rządzący. Według moich ocen, mógł liczyć tylko na 30 proc. głosów – co w przypadku ordynacji większościowej oznaczałoby zero mandatów. Mój list dyskutowano w kierownictwie PZPR, nawet Jaruzelski dopatrzył się w nim „czarnowidztwa”, spowodowanego kilkuletnim już odsunięciem od władzy.

Rezultat tych omyłek był dramatyczny. Przepadek listy krajowej spowodował kryzys konstytucyjny: ustawa zasadnicza wymagała wyboru 460 posłów, a wybrano tylko 408. Zaś totalna klęska władzy w wyborach senackich spowodowała, że w Zgromadzeniu Narodowym zabrakło głosów do wyboru Jaruzelskiego na prezydenta.

Na ratunek pospieszyły Stany Zjednoczone – w obawie, że załamanie się polskiego kompromisu zagrozi pozycji Gorbaczowa w ZSRR. Wciąż bardzo niepewnej. Polski model wyjścia z zależności pojałtańskiej, którego narodzinom jest poświęcona książka Dybicza, był możnym ówczesnego świata potrzebny – jako poręczna, pokojowa i ewolucyjna metoda transformacji ustrojowej.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Warcholska Solidarność usiłowała ten model wykoleić jeszcze przy urnach wyborczych. Możni świata temu zapobiegli. Prezydent USA pofatygował się w tym celu do Warszawy, gdzie nakłonił polskiego szlachcica i generała do przyjęcia urzędu ofiarowanego mu większością jednego głosu. Po latach pocieszałem Wojciecha, że miał wielkiego poprzednika. Konrad Adenauer został kanclerzem federalnym też jednym głosem i to własnym – sam na siebie zagłosował.

Niestety kompromis ten po sukcesie w 1989 r. przetrwał niewiele ponad rok. Na użytek międzynarodowy tego wystarczyło, karty zimnej wojny i Jałty zamknięto.

Modelem rozwojowym Polski Okrągły Stół jednak nie został. Warcholska większość politycznej postsolidarności to uniemożliwiła.

To już inna historia i dla innych rozmówców. Naszkicujmy ją w kilku zdaniach.

Plan drastycznej społeczno-gospodarczej reformy Balcerowicza, całkowicie sprzeczny z ustaleniami Okrągłego Stołu, zaszokował i oburzył masy ludowe. Wykorzystała to natychmiast nacjonalistyczno-populistyczna, zajadle antykomunistyczna większość ówczesnej Solidarności. Pod przewodem braci Kaczyńskich obaliła rząd Mazowieckiego i wymusiła rezygnację Jaruzelskiego. Inauguracji prezydentury Wałęsy towarzyszyło głupkowate i obraźliwe potraktowanie Jaruzelskiego i Mazowieckiego oraz wydobycie z niebytu politycznego londyńskiej marionetki. Była to symboliczna abdykacja antykomunizmu demokratycznego przed antykomunizmem jaskiniowym, nacjonalistycznym i populistycznym. Mazowieckich i Michników przed Kaczyńskimi, IPN-em et consortes. Była to też abdykacja samego Wałęsy. Od tej pory już do śmierci grono kolegów i kilku profesorskich nuworyszy będzie go ścigać jako Bolka.

ANDRZEJ WERBLAN



Paweł Dybicz, „Pożegnanie z Polską Ludową”, Iskry 2026

eprasa.pl c41309f7b5

Głupota zapisana w kodeksach nie dość, że ma się dobrze, to nawet rośnie.

Rozwolności obywatelskie



„Zróbmy paragraf, a człowiek doń pasujący na pewno się znajdzie” – to motto kraju, w którym od dziesięcioleci masowo produkuje się ustawy. Choć żyjemy w państwie prawa, wolności obywatelskich i konstytucyjnych gwarancji, to nawet najgłupszy obywatel dostrzec musi, że polski ustawodawca na najbardziej duperelny problem odpowiada nowym przepisem, a na każdy wyjątek tworzy następne doprecyzowanie.

W efekcie powstał system, w którym człowiek niemal każdego dnia nieświadomie balansuje na granicy odpowiedzialności karnej, wykroczeniowej albo administracyjnej. I nie chodzi o rozboje, gwałty, morderstwa czy wielomilionowe oszustwa, lecz o sprawy tak drobne, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu zostałyby załatwione wzruszeniem ramion albo sąsiedzką awanturą przez płot.

Przywłaszczenie dłużnika

W dzieciństwie każdy z nas słyszał powiedzenie „znalezione nie kradzione”. Polski kodeks odpowiada na ten ludowy pogląd z właściwą sobie brutalnością. Jeśli ktoś znajdzie smartfon wart 4000 zł na ławce w parku, schowa go do kieszeni i uzna, że los właśnie się do niego uśmiechnął, może bardzo szybko zmienić zdanie. Bo to przywłaszczenie, czyli prawie kradzież. Skutek praktyczny pozostaje jednak podobny. Za przywłaszczenie rzeczy o wartości przekraczającej 800 zł grożą trzy lata odsiadki. W epoce telefonów kosztujących 3 czy 5 tys. zł oznacza to, że włożenie do kieszeni znalezionego urządzenia może stać się pełnoprawną sprawą karną.

Wielu ludzi uważa, że mandat to tylko rachunek od państwa. Dług, a ponoć za długi się nie siedzi i jeśli ktoś nie ma pieniędzy, trudno. Tymczasem sąd może zamienić nieściągalną grzywnę na zastępczą karę aresztu. Oznacza to, że człowiek ukarany za przejście na czerwonym świetle, drobne zakłócenie porządku czy inne wykroczenie, który nie zapłaci 100, 200 albo 500 zł i okaże się niewypłacalny, może ostatecznie zobaczyć świat zza krat. Nie dlatego że był groźnym przestępcą, ale dlatego że nie miał z czego zapłacić.

Szczególne miejsce w polskim katalogu osobliwości zajmuje ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii. W wielu krajach Europy dyskutuje się o depenalizacji niewielkich ilości marihuany. W Polsce od lat obowiązuje zasada znacznie prostsza. Masz narkotyk – masz problem. Nie ma znaczenia, czy mówimy o kilogramie czy o okruszkach. Formalnie karalne jest posiadanie każdej ilości. Policja regularnie informuje o zabezpieczeniu 0,2 grama, 0,1 grama, a czasem nawet śladowych ilości substancji. Owszem, prokurator może później umorzyć postępowanie. Owszem, sąd może uznać społeczną szkodliwość za znikomą. Najpierw jednak obywatel przechodzi przez procedurę karną, zatrzymanie, przesłuchanie, trzepanie mieszkania, badania i stres, który często okazuje się bardziej dotkliwy niż ewentualna kara.

Słowo zakratowane

Jeżeli ktoś sądzi, że przynajmniej słowa pozostają wolne, powinien zajrzeć do art. 212 i 216 kodeksu karnego. Pierwszy dotyczy zniesławienia, drugi zniewagi. Różnica jest subtelna, ale dla prawników niezwykle ważna. Zniesławienie polega na przypisywaniu komuś cech lub działań mogących narazić go na utratę zaufania. Zniewaga oznacza obrażanie. W praktyce oznacza to, że konflikt rozpoczęty komentarzem w internecie może skończyć się na sali sądowej. Co więcej, poza odpowiedzialnością karną w postaci rocznej odsiadki pojawia się możliwość żądania przeprosin, zadośćuczynienia oraz zapłaty określonych kwot na cele społeczne.

Najbardziej fascynujące jest to, że przeciętny użytkownik internetu codziennie czyta określenia, które w zależności od kontekstu mogłyby zostać uznane za zniesławiające albo znieważające. W mediach społecznościowych politycy są codziennie nazywani idiotami, zdrajcami, marionetkami, agentami, oszustami, dyktatorami, złodziejami, faszystami, komunistami, bandytami albo psychopatami. Problem polega na tym, że czym innym jest polityczna opinia, a czym innym przypisanie komuś konkretnego przestępstwa lub działania bez możliwości jego udowodnienia. I właśnie na tej cienkiej granicy od lat spotykają się obywatele, adwokaci i sędziowie.

Polska od dawna prowadzi również niezwykły eksperyment polegający na ochronie godności urzędów przy pomocy prawa karnego. Publiczne znieważenie prezydenta RP i innych najwyższych organów władzy państwowej zagrożone jest karą do trzech lat zamieszkiwania w celi. Chodzi ponoć o ochronę powagi państwa. Tylko czy demokratyczne państwo powinno karać obywatela za słowa skierowane wobec polityka, który z definicji podlega publicznej ocenie i krytyce?

To i tak nic. Bo gdyby ktoś ośmielił się powiedzieć w mediach albo napisać w sieci o Putinie, że to bandyta, o Natanjahu, że łapownik i ludobójca, zaś o Trumpie cokolwiek, to lepiej niech tego nie robi. Jest bowiem w kodeksie karnym art. 136, wedle którego ktoś, „kto na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej publicznie znieważa głowę obcego państwa lub akredytowanego szefa przedstawicielstwa dyplomatycznego takiego państwa albo osobę korzystającą z podobnej ochrony na mocy ustaw, umów lub powszechnie uznanych zwyczajów międzynarodowych”, może powędrować do więzienia również na trzy długie lata. Czy ten przepis żyje? Jasne, że nie, ale jakby ktoś chciał go użyć, to w każdej chwili można go zastosować. I niech sąd deliberuje o stanie psychicznym prezydenta USA, agresywności Putina, czy o tym, co naprawdę premier Izraela zrobił w Strefie Gazy.

Niekończące się emocjonalne spory wywołuje art. 196 kodeksu karnego, czyli obraza uczuć religijnych. Za publiczne znieważenie przedmiotu czci religijnej lub miejsca kultu grozi do dwóch lat pozbawienia wolności. Ale dlaczego państwo ma karać za obrazę symboli religijnych, skoro nie chroni w podobny sposób przekonań niereligijnych? Zwolennicy odpowiadają, że religia dla milionów ludzi jest wartością fundamentalną. Efekt jest taki, że konstytucyjne granice wolności słowa wyznacza nie debata publiczna, lecz prokurator i sąd.

Polska jest krajem formalnie świeckim, ale jednocześnie utrzymuje szczególną ochronę wielu sfer związanych z religią. W rezultacie obywatel może przez lata uważać, że bierze udział w satyrze, happeningu albo prowokacji artystycznej, a następnie odkryć, że toczy się przeciwko niemu postępowanie karne.

Zaregulowani na śmierć

Wydawałoby się, że spacer po lesie jest jedną z ostatnich czynności wolnych od ingerencji państwa. Nic bardziej mylnego. W zależności od miejsca można odpowiadać za niszczenie roślin, niszczenie grzybów, naruszanie zakazów obowiązujących w rezerwatach, płoszenie zwierząt, niszczenie siedlisk, wjazd pojazdem do lasu, rozpalanie ognia albo zbieranie określonych gatunków. Szczególnie interesujące są przepisy dotyczące gatunków chronionych. Zerwanie pojedynczej rośliny może dla obywatela wyglądać jak niewinna pamiątka z wycieczki. Dla przedstawiciela prawa może stanowić element ochrony przyrody wymagający sankcji administracyjnych, a czasem nawet odpowiedzialności karnej. Konkretnie zaś można zapłacić nawet 5 tys. zł, a jak się nie ma, to sąd przeliczy to na areszt.

Podobnie wygląda sprawa z wykroczeniami, które brzmią jak żart. Artykuł 107 kodeksu wykroczeń penalizuje złośliwe niepokojenie. W praktyce mogą to być uporczywe telefony, wiadomości albo działania mające dokuczyć drugiej osobie. Państwo nie interesuje się więc wyłącznie wielką przestępczością. Interesuje się również drobną ludzką złośliwością. Można powiedzieć, że ustawodawca postanowił skodyfikować chamstwo.

A potem pozostaje już tylko pytanie, gdzie przebiega granica. Skoro istnieją przepisy dotyczące słów, symboli religijnych, urzędów państwowych, znalezionych telefonów, śladowych ilości substancji, chronionych kwiatów, mandatów, złośliwych telefonów, funkcjonariuszy publicznych, śmieci na własnym podwórku i stanu umycia własnego samochodu oraz setek innych zachowań, to

obywatel ma prawo odnieść wrażenie, że polskie państwo przypomina gigantyczny magazyn pełen paragrafów czekających na okazję do użycia.

Oczywiście większość tych regulacji ma swoje uzasadnienie. Problem polega jednak na tym, że im więcej przepisów, tym większa pokusa, by każdego, kto władzy nie pasuje, spostponować przy pomocy policji, prokuratury i sądu. Niczym za komuny, gdy ludzi wsadzano nie za rozrzucanie antykomunistycznych ulotek, ale za zaśmiecanie.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Zakopane. Władze miasta zapraszają na bezpłatną „Jogę pod Tatrami”. W każdą sobotę o godz. 9.00, piękny widok: Dolna Równia Krupowa, a juhasi, zamiast doić owce, wyginają śmiało ciało w pozycji kwiatu lotosu, szukając czakry między jednym a drugim głębszym. Magistrat zachęca górali do zabierania własnych mat. Znając lokalną przedsiębiorczość, dziwię się, że pod urzędem nie stoją już stragany oferujące „tradycyjne, góralskie maty do jogi” z wełny czesankowej za jedyne 200 zł za godzinę wypożyczenia. Jeśli pogoda dopisze, będziemy mieli festiwal wykręconych stawów pod Giewontem, a jeśli spadnie deszcz, cała menażeria z bacami i inwentarzem na czele przeniesie się do hali MOSiR-u. Zapach mokrego owczarka zmieszany z aromatem spoconego bacy w pozycji kobry to musi być ta słynna nirwana!

▮ Ministerstwo Klimatu i Środowiska pod światłym kierownictwem Pauliny Hennig-Kloski postanowiło wreszcie zająć się sprawami o znaczeniu fundamentalnym dla bytu narodowego: lingwistyczną rehabilitacją wilka. Resortowa kampania medialna ma nas oduczyć krzywdzących metafor, bo przecież mówienie, że „człowiek człowiekowi wilkiem”, to potwarz dla tych szlachetnych czworonogów, a „wilczy apetyt” stygmatyzuje radosną konsumpcję. Czekam teraz na oficjalne przeprosiny rządu RP skierowane do watahy za wieki prześladowań w literaturze dziecięcej. Czerwony Kapturek powinien zostać uznany za prowokatora, a babcia za osobę współwinną nękania drapieżnika. Ta cała hucpa to oczywiście klasyczna ucieczka do przodu. Gdyby nie walka o dobre imię wilka, mało kto by zauważył, że ministerstwo Hennig-Kloski w ogóle pobiera diety i zajmuje biura. Rzec można: wilk syty i owca cała.

▮ Blisko dwa tysiące strażaków postanowiło nocą sforsować szczyt Śnieżnik w Sudetach, taszcząc na grzbietach po 20 kg ekwipunku. Wszystko to w ramach akcji „Strażak na szlaku” mającej zachęcać do oddawania szpiku. Widok budujący: setki miast i miasteczek pozostawionych na łaskę losu i iskier, podczas gdy ich jedyni obrońcy uprawiają nocną wspinaczkę w pełnym rynsztunku. To kolejny przykład zamiłowania do widowiskowej bezużyteczności. Strażacy promujący medycynę transplantacyjną na szczytach gór to ten sam poziom abstrakcji co policjanci zachęcający do czytania poezji. Nie tego od nich oczekujemy.

▮ Pewien 46-latek obłożony sądowym zakazem prowadzenia pojazdów mechanicznych postanowił zadrwić z Temidy, pędząc elektryczną hulajnogą niemal 70 km/h po drodze wojewódzkiej między Kozinem a Czarną Dąbrówką. Choć dopuszczalna prędkość dla tego typu wynalazków wynosi 20 km/h, a na wspomnianą trasę hulajnogi w ogóle nie mają wstępu, mężczyzna wykazał się logiką godną mędrca: wybrał hulajnogę właśnie dlatego, że na samochód ma szlaban. Za rajd zapłacił 1100 zł mandatu. Nic ponadto, gdyż Sąd Najwyższy w swej mądrości uznał, że hulajnoga elektryczna nie jest pojazdem mechanicznym w rozumieniu kodeksu karnego. Idąc tym tropem, można odnieść wrażenie, że bez prawa jazdy i po pijaku wolno u nas nawet pilotować samoloty. Radary drogówki nie sięgają tak wysoko, a prawo, jak widać, zawsze znajdzie sposób, by z głupoty uczynić jedynie wykroczenie.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

▮ 58-letni lekarz Mikołaj M. dowiódł, że zawód lekarza to nie tylko misja, ale i sport ekstremalny. Za rajd z 1,6 prom. alkoholu we krwi oraz widowiskową ucieczkę przed policją sąd wymierzył mu rok bezwzględnego więzienia, pięć lat abstynencji od kierownicy i – co zaboli najbardziej – przepadek równowartości auta w kwocie 186 tys. zł. Policjanci, nie doceniając powagi sytuacji, musieli wybijać szybę, by wyciągnąć pana doktora z jego twierdzy na kółkach. To rzuca zupełnie nowe światło na niebotyczne wynagrodzenia lekarzy. Jak widać, muszą oni zarabiać krocie, by mieć z czego opłacać tak kosztowne hobby jak jazda na podwójnym gazie i ucieczki przed sprawiedliwością. To ryzyko zawodowe wpisane w etos służby publicznej. Mikołaj M. śpieszył się przecież na demonstrację mieszkańców Droszkowa, którzy pod Zieloną Górą domagali się obwodnicy.

▮ Tegoroczny rytuał masowego wbijania pieczątek z napisem „dojrzały” zakończył się sukcesem dla 81,1 proc. spośród ponad 321 tys. nieszczęśników. Ponad 260 tys. młodych ludzi otrzymało właśnie urzędowe potwierdzenie, że potrafią czytać, pisać i nie gubią się w drodze do budynku szkoły. Licea tradycyjnie wyprodukowały więcej kandydatów na bezrobotną inteligencję (85,9 proc. zdawalności). Technika wypadły bladziej. Tam maturę przeskoczyło zaledwie 71,3 proc. Dyrektor Centralnej Komisji Egzaminacyjnej dr hab. Robert Zakrzewski każe nam czekać do września na pełny obraz intelektualnej nędzy. Dopiero wtedy dowiemy się, ilu z blisko 40 tys. poprawkowiczów zdoła w sierpniu wbić sobie do głów absolutne minimum wiedzy, by przestać być statystycznym głąbem.

▮ Łódź funduje 165 plastikowych budek dla 8 tys. ludzi, którzy nie dostąpili zaszczytu posiadania własnej rury odpływowej. To krajowy rekord w kategorii „średniowiecze w centrum Europy”. Niektórzy uprawiają

eprasa.pl c41309f7b5

Porsche na receptę

Niesłusznie oburzamy się na zarobki lekarzy

W numerze 32–33/2025 tygodnika „NIE” opublikowałem tekst zatytułowany „Przegrana od nominacji”, w którym ze współczuciem pochylałem się nad przyszłością minister zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy. Twierdziłem wówczas, że objęcie teki w wyniku rekonstrukcji rządu Donalda Tuska nie jest awansem, lecz początkiem politycznej agonii. Statystyczna przeżywalność na tym stanowisku wynosi ok. 16 miesięcy, a karierę kończy się zwykle w stanie przedzawałowym.

Niestety, prognoza okazała się trafna. Wybuch afer związanych z gigantycznymi wynagrodzeniami lekarzy w zadłużonych szpitalach sprawił, że opinia publiczna zażądała głów. Najlepiej ministerialnych. Niesłusznie. Odpowiedzialność za funkcjonowanie większości szpitali spoczywa przede wszystkim na samorządach – powiatowych, miejskich i wojewódzkich – które są ich podmiotami tworzącymi. To tam powinien działać nadzór nad sposobem zawierania kontraktów i rozliczania dyżurów. Jeżeli przez lata dochodziło do fikcyjnych rozliczeń, wieloetatowości nie do pogodzenia z rzeczywistością czy wynagrodzeń całkowicie oderwanych od zdrowego rozsądku, to nie są to problemy, które powstały w ciągu niespełna roku urzędowania nowej minister.

Tusk zapowiedział jednak, że da Sobierańskiej szansę uporządkowania sytuacji. Minister odpowiedziała zapowiedzią nowych regulacji: lekarz miałby być zatrudniony co najmniej na pół etatu w jednym szpitalu, a podjęcie dodatkowej pracy wymagałoby zgody pracodawcy. Przyznała, że patologie są skutkiem wad systemowych narastających przez kolejne kadencje zarządzających ochroną zdrowia.

Defraudacja w służbie narodu

Nie przyłączę się do chóru oburzonych na ministerkę. Ludzie! Wasza moralność jest równie płytka co basen w przedszkolu! Spójrzmy na to z nieco innego punktu widzenia i wskażmy prawdziwe przyczyny.

Po pierwsze, zgódźmy się, że lekarz, który wyrywa nas ze szponów kostuchy, musi być majętny, by jego jedynym zmartwieniem był skalpel, a nie debet. Po drugie, krzyczycie o zdefraudowanych milionach, a ja widzę strumień złota płynący prosto w żyły naszej gospodarki z permanentną anemią kapitałową. Te pieniądze nie zniknęły! One kupiły mieszkania, opłaciły ekipy budowlane i nakarmiły dilerów luksusowych aut. Gdyby ortopeda zarabiał marne grosze, jeździłby rowerem, a tak – dzięki fakturze na sto godzin na dobę – daje pracę blacharzom, myjniom i instruktorom jazdy.

Jeden kreatywnie rozliczony dyżur to w istocie fundusz socjalny dla połowy powiatu. To nie jest korupcja, to jest najbardziej szczery przepływ kapitału, jaki widziały samorządowe umieralnie. Mówiąc bardziej uczenie: pieniądze nie zostały ukradzione gospodarce. Zostały jedynie przesunięte z rachunku szpitala na rachunek lekarza, który potrafił je wydać znacznie sprawniej.

Natomiast prawdziwe straty zaczynają się dopiero teraz, gdy do akcji wkracza nasza wrażliwość społeczna, czyli eufemizm określający zbiorową histerię. Drenaż kieszeni podatnika to te wszystkie komisje, audytorzy, prokuratorzy i rzecznicy, których trzeba będzie latami karmić, by ustalili rzecz oczywistą: że doktor w pracy był duchem, a faktura – ciałem. To jest dopiero marnotrawstwo! A całe to oburzenie? To nie jest pragnienie sprawiedliwości, tylko czysta, staropolska zawiść.

Nie boli to, że on ukradł, tylko to, że nam nikt nie dał ukraść. Ta drzazga, która uwiera, to nie moralność. To żal, że nie załapaliśmy się do tego samego koryta.

Kult alarmu i domofonu

Problem systemowo tkwi w naszym zbiorowym urojeniu, że świat dzieli się na nas – kryształy uczciwości – oraz całą resztę, która tylko czyha, by podprowadzić nam wycieraczkę spod drzwi. To pospolite przekonanie wygenerowało potworną infrastrukturę strachu: te miliony zamków, domofonów, kamer i armie ochroniarzy. Budujecie płoty i potrójne zabezpieczenia bankowe, od których dostajecie apopleksji, a wszystko po to, by „okazja nie uczyniła złodzieja”. Koszt tego całego żelastwa, elektroniki i drutu kolczastego jest setki razy wyższy niż to, co faktycznie mogłoby zginąć w rękach amatorów cudzej własności. Ale my, pełni rzekomego zdrowego rozsądku, twierdzimy, że bez tych klatek ukradziono by nam nawet powietrze z płuc. W istocie płacimy gigantyczny podatek od własnej nienawiści do bliźniego, nazywając to dbałością o mienie. Jesteśmy jak człowiek, który wydaje fortunę na pancerny sejf, by trzymać w nim znoszone onuce – tylko dlatego, że sąsiad też ma nogi.

Ale skąd to się wzięło? Z żelaznego, niemal religijnego przekonania, że kradzież to najkrótsza droga między pożądaniem a posiadaniem. Kradzież ma wdzięk prostej anegdoty: ktoś ma, ja biorę, kurtyna. Tymczasem tak zwana uczciwa praca to nudziarstwo dla masochistów o wybujałej cierpliwości. Trzeba coś wymyślić, zaryzykować, czekać latami na ochłapy, podczas gdy życie ucieka. Nasze mózgi, leniwe galarety, nienawidzą wysiłku tworzenia, wolą elegancję przejęcia. Pieniądz w naszej wyobraźni nie powstaje w pocie czoła, on po prostu gdzieś leży i czeka na sprytniejszego.

Media zresztą dbają, abyśmy nie zmienili zdania i nie zasypiali z nudów. Nikt nie nakręci pasjonującego reportażu o facecie, który przez 30 lat rzetelnie produkował gwoździe. Ale napad na bank, krwawy rozwód miliardera czy polityczny szwindel – o, to jest mięso, którym karmi się nasza umysłowość. W efekcie żyjemy w świecie, gdzie wielki kapitał zawsze śmierdzi trupem lub aferą, bo tylko takie bajki potrafimy skonsumować. Uważamy, że każdy większy pieniądz musi być brudny, bo sami nie mieliśmy cierpliwości, żeby go uczciwie wyhodować.

Naród o sumie zerowej

Co gorsze, historia, ta wielka nauczycielka życia, to w rzeczywistości opasły rejestr udanych kradzieży. Przez wieki jedynym szanowanym modelem bogacenia się było tak zwane bogactwo ekstrakcyjne, czyli radosne zabieranie bliźniemu tego, co sam zdołał wytworzyć. Królowie, rycerze, piraci i cała ta błękitnokrwista zgraja nie zajmowali się tworzeniem wartości, lecz ich konfiskatą. Produkcja, żmudny i męczący proces, była zarezerwowana dla chłopstwa i rzemieślników. Istot w powszechnym mniemaniu gorszej kategorii, których jedynym sensem istnienia było dostarczanie owoców swojej pracy panom i władcom. Szlachectwo polegało na tym, by nie pracować, lecz umiejętnie pasożytować. Nic dziwnego, że nasze intuicje są tak skrzywione. W genach wciąż drzemie pamięć pańszczyźnianego niewolnika, który wiedział, że majątek nie bierze się z trudu, lecz z bliskości bata lub korony. Wolimy marzyć o łupie niż o fabryce, bo w polskiej duszy praca wciąż śmierdzi gnojem, a zagrabione bogactwo – kadzidłem i chwałą.

Zatem nie łudźcie się, że ten mentalny skansen da się wyburzyć jednym rozporządzeniem ministerstwa finansów czy brzękiem kajdan na nadgarstkach kilku lekarzy. Jesteśmy uwięzieni w ciasnej wyobraźni, w której wzbogacenie się przez pracę brzmi jak opowieść o yeti. Niby każdy o tym słyszał, ale nikt przy zdrowych zmysłach w to nie wierzy.

Logika złodzieja jest prosta i kusząca: ukradniesz milion – masz milion, sprawa zamknięta. Można iść pić. Tymczasem stworzenie czegoś, co ten milion przynosi co roku, wymaga inteligencji, której ze świecą szukać. Ekonomiści nazywają produkcję grą o sumie dodatniej, a kradzież – grą o sumie zerowej. Ale dla nas to czysta abstrakcja. My wolimy sumę zerową. Zanim zrozumiemy ów błąd, minie jeszcze kilka pokoleń. Na razie polskim najlepszym pomysłem na dobrobyt jest jednak nadzieja, że sąsiadowi powinie się noga, a nam wpadnie w ręce jego portfel.

Cena utraconego zaufania

Nie wróżę zatem sukcesów minister Sobierańskiej – bo system jest kaleki od urodzenia. Gdybym jednak mógł coś szepnąć do ucha naszym drogim eskulapom, to przypomniałbym, że psychologia i ekonomia behawioralna są bezlitosne. Nieuczciwość to nie katar, który mija po wyjściu z gabinetu. To charakter. Jeśli ktoś z lekkością motyla fałszuje faktury na sto godzin na dobę, to z taką samą łatwością oszuka przy stole operacyjnym. To się nazywa moralne rozhamowanie. Proces, w którym granica między etyką a rynsztokiem zaciera się szybciej niż pismo na recepcie.

A w waszym fachu, państwo doktorzy, zaufanie to nie jest wisienka na torcie, to sam tort. Pacjent to istota z natury bezbronna i ciemna. Nie sprawdzi diagnozy, nie zweryfikuje, czy te wszystkie drogie rurki wkładane mu w różne otwory są mu do czegokolwiek potrzebne. Jeśli dowie się, że ma do czynienia z bandą naciągaczy, mit wszechmocnej medycyny zdechnie. A wtedy, drodzy doktorzy, wasi klienci pójdą do znachorów, homeopatów i bab zamawiających uroki.



Rys. OBYWATEL JANEK

Tamci też są oszustami, ale przynajmniej tańszymi i nie udają, że ich hokus-pokus opiera się na nauce. Zresztą… nowoczesna medycyna i tak najlepiej radzi sobie z nazywaniem chorób po łacinie, bo ze skutecznym leczeniem bywa u niej równie krucho, co z waszą uczciwością.

Jeśli nie zaczniecie pilnować siebie nawzajem, zostaniecie z tymi swoimi milionami, ale bez pacjentów, którzy woleliby umrzeć godnie u szarlatana, niż zostać okradzionymi przez utytułowanego złodzieja.

ROBERT JARUGA

sralną turystykę do toi-toiów od dekady, co czyni z nich weteranów walki o fizjologiczną godność. W tym samym czasie państwo polskie lekką ręką wydaje około 1,3 mld zł, żeby wysłać jednego łodzianina na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS). Za te pieniądze, nawet przy założeniu, że każda toaleta byłaby wyłożona marmurem za 150 tys. zł, można by postawić blisko 9 tys. ustępów. Problem sralnej bezdomności zniknąłby jak ręką odjął.

▮ Stryków pod Łodzią wyrasta na awangardę polskiego wynarodowienia. Według oficjalnych danych GUS-u cudzoziemcy stanowią tam blisko 40 proc. populacji, ale wieść gminna niesie, że po doliczeniu tych, którzy przed urzędnikami skutecznie chowają się za paletami, jest ich już ponad połowa. Prawdziwy bankiet narodów: od Ukraińców i Gruzinów po egzotykę z Nepalu, Bangladeszu czy Pakistanu. Co ich tak urzekło w tej mieścinie, która architektonicznie składa się głównie z węzłów autostradowych i bezkresnych blaszanych hal? GUS tego nie podaje.

▮ Polska gospodarka przeżywa masową transfuzję obcej krwi. Według GUS, na początku 2026 r. mieliśmy już ponad 1,1 mln obcokrajowców. Prawie 40 proc. z nich – czyli blisko pół miliona ludzi – tyra na tak zwanych umowach śmieciowych. To oznacza, że pracownik jest rodzajem odpadu, który można zutylizować, gdy tylko przestanie być potrzebny. Ukraińcy, których jest już ponad 750 tys., stali się kręgosłupem tego kraju. Bez nich polskie budowy, magazyny i kuchnie stałyby puste. W tym samym czasie bezrobocie rejestrowane skoczyło do blisko 6 proc. Mamy prawie milion rodaków, którzy wolą kontemplować własną zbędność w urzędach pracy, niż zhańbić się robotą, którą wykonują przyjezdni.

▮ Wydatki samorządów na marketing i promocję osiągają pułap, przy którym trudno już mówić o informowaniu obywateli, a łatwiej o finansowaniu prestiżu lokalnych władz na koszt podatnika. Blisko 1,5 mld zł, które w 2026 r. ma popłynąć z budżetów gmin i powiatów, to kwota sankcjonująca mechanizm stałej kampanii wyborczej prowadzonej pod szyldem promocji regionu. Słusznie zauważyła posłanka Dorota Marek, że granica między reklamą miasta a budowaniem wizerunku urzędującego burmistrza czy prezydenta stała się niemal niewidoczna. Resort finansów, zasłaniając się autonomią samorządu, de facto legitymizuje ten proceder.

▮ W Zielonej Górze prokuratura doliczyła się dziewięciu winnych z byłym prezydentem na czele, którzy z miejskiej kasy zrobili zaplecze finansowe dla Zielonogórskiego Klubu Żużlowego Falubaz. Mechanizm był prosty: fikcyjne etaty w urzędzie i spółce komunalnej dla ludzi pracujących w rzeczywistości dla klubu. Straty oszacowano na 1,2 mln zł, a podejrzanym grozi do 10 lat więzienia. Z drugiej strony medalu mamy lokalny patriotyzm i sukces. W Zielonej Górze żużel to religia, a Falubaz jest dla miasta tym, czym Legia dla Warszawy. To właśnie w okresie objętym zarzutami (2022–24) klub wywalczył spektakularny awans do Ekstraligi. Dla wielu mieszkańców prezydent nie jest więc przestępcą, lecz skutecznym menedżerem, który rozumiał, że w tym mieście ryk silników jest ważniejszy niż porządek w papierach. Spór sprowadza się do pytania: czy prawo ma pierwszeństwo przed lokalną dumą? Prokurator twierdzi, że tak, kibice – że wręcz przeciwnie.

▮ Pierwszy przetarg na następcę Daru Młodzieży zdechł, zanim w ogóle zdążył nabrać wiatru w żagle. Nie wpłynęła ani jedna oferta, co jest o tyle zabawne, że nawet Stocznia Gdańska – owa sławetna kolebka wszystkiego, co w Polsce drogie i nierentowne – nie wyraziła ochoty na powtórkę z rozrywki. Uniwersytet Morski w Gdyni nie daje za wygraną. Zapowiada kolejne podejście do budowy trzymasztowej fregaty. Ma ona służyć do szkolenia przyszłych oficerów marynarki handlowej. I tu dochodzimy do sedna obłędu: dlaczego, u diabła, w dobie potężnych silników Diesla od Hyundaia czy Rolls-Royce'a, przyszli kapitanowie gigantycznych kontenerowców mają tracić czas na szarpanie się z płótnem na wietrze? Kształcenie nowoczesnych kadr na żaglowcach to tak, jak by przyszłych kierowców Formuły 1 uczyć powożenia dyliżansem. Marnowanie pieniędzy na naukę umiejętności całkowicie zbędnych w realnym świecie.

▮ Majątek upadłej Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Prudniku wystawiono na sprzedaż za ok. 12,5 mln zł. Zakład, który karmił okolicę od 1946 r., wyłożył się w 2023 na długu przekraczającym 15 mln. Bilans mlecznej tragedii to 50 osób na bruku i blisko 200 hodowców z pełnymi kankami. Analitycy finansowi twierdzą, że spółdzielcy ukręcili na siebie bicz, sprzedając sery i serwatkę do Biedronek czy innych Carrefourów przy zbyt niskich marżach, podczas gdy koszty energii i obsługi długu rosły szybciej niż apetyt bankierów. To brzmi prawdopodobnie. Gorzej z wnioskiem drugim: że spółdzielczość jako taka w starciu z wolnorynkowym kapitalizmem jest anachronizmem. To bolesny kopniak w krocze naszych społecznych złudzeń o wspólnotowym działaniu. Istnieje jednak jeszcze inna prawda, którą poznamy dopiero wtedy, gdy dowiemy się, kto ostatecznie położy łapę na majątku tej „nierentownej” fabryki białego sera. Wyróżniamy bowiem dwa typy bankructw: te z głupoty oraz te robione na własne życzenie, by ktoś inny mógł spić śmietankę.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

RJ

PS Drodzy Czytelnicy, przeczytane przez Was informacje pochodziły z prasy lokalnej, która – jak wiadomo – bywa omylna. Niekiedy schodzi na ścieżki, na które rozsądek zagląda niechętnie. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne nieścisłości ani za skutki nadmiernej wiary w ich treść. Przeczytaliście je na własne ryzyko i własną odpowiedzialność. Idźcie więc w pokoju i nie wierzcie w Ewangelię.

eprasa.pl c41309f7b5

Ryby i obywatele głosu nie mają

Katastrofa spychologiczna

Przełom czerwca i lipca w malowniczej dolinie rzeki Bóbr w województwie dolnośląskim, w powiecie lwóweckim (gminie Wleń) przyniósł smród. Przeszło 20 ton ryb przypłaciło życiem remont zabytkowej kamiennej zapory w Pilchowicach. Skutki środowiskowe katastrofy ekologicznej będą się kumulować latami. Tymczasem kolejna ekipa rządząca traktuje ekowtopę jak PR-owy problem do opanowania, a nie lekcję na przyszłość.

Odra 2.0.

Zaporą zbiornika zarządza spółka Tauron Ekoenergia. Obiekt ma ponad 100 lat i wymaga napraw po uszkodzeniach oraz przeciekach, do których doszło m.in. podczas powodzi z 2024 r. Modernizacja układu odprowadzania wód ma zwiększyć bezpieczeństwo Dolnego Śląska i zmniejszyć ryzyko wystąpienia katastrofalnych fal wezbraniowych w przyszłości. „Podjęliśmy się realizacji zadania, którego przez blisko 50 lat nikt nie wykonał" – chwaliła się spółka. Jeszcze jak! Po spuszczeniu wody, dzięki któremu ma być możliwy remont obiektu, doszło do masowego śnięcia ryb i śmierci bobrów. Spółka idzie w zaparte, że działa zgodnie z prawem, rząd schował głowę w piasek. Choć skala katastrofy jest znacznie mniejsza niż tej na Odrze w 2022 r., to trudno nie odnieść wrażenia, że państwo abdykowało.

Wodę ze zbiornika wypompowywano stopniowo od lutego 2026 r., odsłaniając powoli to, co od lat zalegało na 240-hektarowym dnie – stare auta, broń i amunicję. Tauron Ekoenergia zapowiadał, że końcowy etap osuszania jeziora przypadnie na koniec czerwca. Spółka zapewniała, że wszystkie swoje działania konsultowała z przyrodnikami i wyjaśniała, że nie da się „spuszczenia wody na taką skalę przeprowadzić bez strat". Pech chciał, że akurat wtedy przez Polskę przeszła kulminacyjna fala upałów sięgających 40° C. Na skalę zjawiska wpłynęła też ilość zgromadzonych namułów. Widać eksperci nie śledzili prognoz. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

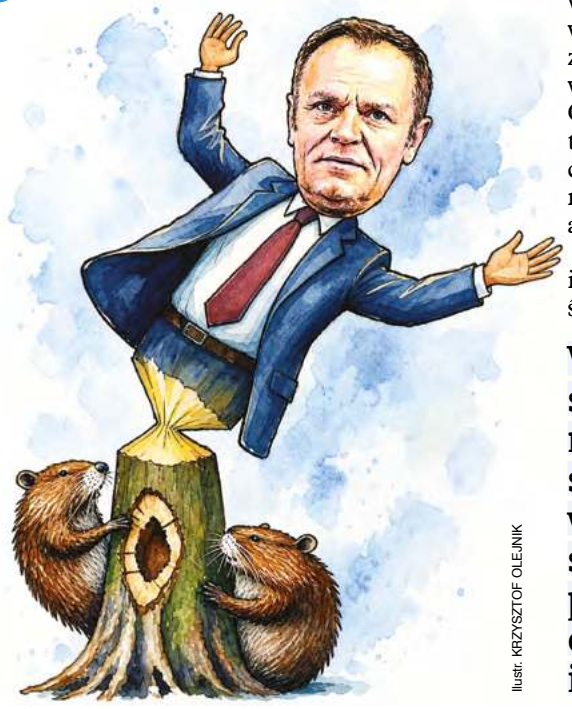
Do modernizacji zapory wynajęto firmę Naviga-Stal, która podpisała umowę z podwykonawcą na odłowienie ryb ze zbiornika. Miało być realizowane „adekwatnie do rozwoju sytuacji", a ryby przekwaterowane do zbiorników Perła Zachodu i Wrzeszczyn. 18 czerwca spółka rozpoczęła odłowy prowadzone pod nadzorem ichtiologów. Brzegi zbiornika patrolowały Społeczna Straż Rybacka i Polski Związek Wędkarski. „Nie stwierdzono zastoisk z rybami". W ostatnich dniach operacji w niemal pustym zbiorniku pojawiły się tysiące martwych zwierząt. Alarm podnieśli wędkarze z Koła PZW Grodzkie Jelenia Góra, nazywając to, co zobaczyli, katastrofą ekologiczną. Wędkarze spontanicznie zebrali się nad jeziorem, żeby pomóc w odłowach i przeniesieniu ryb.

1 lipca władze województwa puściły farbę o pogorszeniu wody w rzece Bóbr. Wprowadzono zakaz wchodzenia do niej, połowu ryb, korzystania z niej do celów gospodarczych i pojenia zwierząt. Prokuratura poinformowała o planach śledztw pod kątem zanieczyszczenia środowiska w znacznych rozmiarach.

„Jesteśmy gotowi przedstawić opinii publicznej dokumenty i zrobimy to niezwłocznie po zakończeniu działań organów administracji. Dotychczasowy przebieg postępowania oraz posiadana dokumentacja potwierdzają, że wszystkie działania realizowane były z należytą starannością, w zgodzie z obowiązującymi regulacjami prawnymi i środowiskowymi" – zadeklarowała spółka. Co ciekawe, z publicznych informacji wynika, że burmistrz Wlenia uznał, iż remont nie jest przedsięwzięciem mogącym znacząco oddziaływać na środowisko. W efekcie nie uruchomiono dla tej operacji pełnej ścieżki oceny oddziaływania na faunę i florę z raportem, analizą ryzyk, wariantami i formalnym udziałem organów opiniujących...

Kanał ściekowy wielkiego przemysłu

– Przyjechałem powiedzieć o zobowiązaniach. Po pierwsze, wszyscy mamy poczucie, że kręcą. Nie chce się wierzyć, by te zaniechania wynikały z głupoty i niekompetencji. Wydaje się, że ta władza robi wszystko, by uniknąć odpowiedzialności, a nie wyjaśnić sprawę. Widać, że strach ich paraliżuje, jakby mieli przekonanie, że musieliby karać swoich – powiedział Donald Tusk. Niestety, podczas spotkania z mieszkańcami Krosna Odrzańskiego w sierpniu 2022 r., a nie w Pilchowicach. Bajzlu spod zapory premier nie skomentował w ogóle.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Podczas konferencji prasowej przy zaporze zbiornika pojawił się za to wiceprezes PiS Przemysław Czarnek. Ocenił, że na Bobrze doszło do „potężnej katastrofy ekologicznej" i wezwał minister klimatu i środowiska Paulinę Henning-Kloskę oraz wiceminister tego resortu Urszulę Zielińską do dymisji. Ale... większość zasobów wodnych w Polsce stanowi własność skarbu państwa, a nadzór nad nimi oraz nad samą instytucją Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie sprawuje Ministerstwo Infrastruktury. Ministrem właściwym tego resortu jest Dariusz Klimczak, który wzorem premiera nabrał wody w usta. Podczas konferencji prasowej po posiedzeniu Rady Ministrów 7 lipca Adam Szłapka odesłał do Ministerstwa Klimatu i Środowiska dziennikarzy pytających o gnój w Pilchowicach. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Minister Hennig-Kloska czeka na raport końcowy Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska we Wrocławiu, która weryfikowała, czy zostały zachowane warunki realizacji inwestycji w Pilchowicach. Poinformowała również, że według badań Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska sytuacja na rzece się poprawia. Równocześnie zaznaczyła, że jako minister klimatu i środowiska nie nadzoruje takich inwestycji, zbiorników wodnych ani ich właścicieli. Można się rozejść.

Zarówno rząd Morawieckiego w 2022 r., jak i rząd Tuska w 2026 r. spuściły problem ochrony środowiska z nurtem gnojówki.

W obu przypadkach zawiodły systemy monitoringu i ochrony wód, którymi zarządza spółka Wody Polskie. Podstawowy problem z bezpieczeństwem wód w kraju nad Wisłą polega na tym, że nie podlegają one Ministerstwu Klimatu i Środowiska.

Prezes Wód Polskich i nadzorujący go resort uparcie milczą. Kontrolujący kontroluje się sam. Wody Polskie wydały jedynie oficjalne stanowiska (m.in. poprzez RZGW we Wrocławiu), że wyłącznym zarządcą zbiornika, zapory oraz elektrowni jest spółka Tauron Ekoenergia i to ona odpowiada za stan techniczny i prowadzone tam prace. Spychologia ma się w najlepsze. Tauron zapowiedział rekultywację zbiornika. Paradne. Spuszczenie z niego wody w 1977 r. zabiło życie w Bobrze na wiele lat. Ekosystem odbudował się dopiero po wielkiej powodzi w 1997 r.

IDALIA DUBICKA

Przychodzi szpital do starosty

Największym problemem polskiej służby zdrowia jest to, że nie da się wskazać odpowiedzialnego za ten system.

W Augustowie szpital ma zapłacić pacjentce ponad 4 mln zł za błąd medyczny przy porodzie. Ubezpieczyciel rzucił na stół ok. 400 tys. zł, reszta została przy szpitalu, a ponieważ szpital pieniędzy nie miał, poszedł po nie do powiatu. Tak właśnie działa państwowo-samorządowa wersja cudu nad kasą chorych – lekarz nie pracował w szpitalu, ale w spółce lekarskiej, szpital przegrywa, NFZ nic do tego nie ma, Ministerstwo Zdrowia obrywa w telewizji, powiat wyjmuje portfel, dyrektor rozkłada ręce, a podatnik ma udawać, że właśnie zaobserwował skuteczność systemu ochrony zdrowia.

Żyrant systemowy

Augustowski wyrok zapadł po kilku latach procesu. Sąd uznał, że doszło do błędu medycznego, za który odpowiada szpital, choć dyrektor placówki informował, że lekarz, którego dotyczy sprawa, już w szpitalu nie pracuje. Ważne, że pacjentka i dziecko przeżyli poród.

Obowiązkowe OC szpitala wynosiło 100 tys. euro. W przeliczeniu dało to ponad 400 tys. zł. Tyle wypłacił ubezpieczyciel. Reszta, czyli 4,1 mln zł, ma zostać zapłacona przez szpital. W tej kwocie mieszczą się zadośćuczynienie, odsetki oraz renta dla pacjentki.

Ponieważ pieniędzy nie było, szpital wystąpił o pożyczkę do starostwa. Rada powiatu się zgodziła. Starosta tłumaczył, że czas był kluczowy właśnie przez narastające odsetki. Spłatę rozłożono na raty, a pierwsza płatność ma przypaść dopiero na 2029 r. Czyli rachunek z porodu, procesu i sądowego wyroku został przepchnięty na następną kadencję następnego dyrektora i następny budżet.

Dyrektor zapowiada, że szpital będzie dochodził połowy kwoty od spółki lekarskiej, przez którą zatrudniony był lekarz. Najpierw więc publiczna placówka dostaje pieniądze od publicznego powiatu, żeby wykonać publiczny wyrok, a następnie zapowiada, że może odzyska połowę od podmiotu, z którym sama kiedyś zawarła umowę. I to nie jest kabaret.

Augustowski szpital poprzedni rok zakończył stratą ponad 2 mln zł. Dyrektor tłumaczył ją nieopłaconymi przez NFZ nadwykonaniami oraz niskimi wycenami świadczeń. Bo w Polsce nikt do końca nie jest winny. Ministerstwo Zdrowia tworzy politykę, wydaje rozporządzenia i zbiera polityczne cięgi. NFZ zarządza pieniędzmi ze składki zdrowotnej, zawiera umowy ze szpitalami i płaci za świadczenia. Samorząd jest właścicielem szpitala, więc zostaje z budynkami, dyrektorami, stratą, lokalnym gniewem i dramatami mieszkańców, którzy chcą mieć porodówkę, chirurgię, internę i karetkę blisko domu. W ustawie o działalności leczniczej zapisano, że samodzielny publiczny zakład opieki zdrowotnej pokrywa stratę netto we własnym zakresie, ale podmiot tworzący może uczestniczyć w jej pokrywaniu, a przy likwidacji zobowiązania lądują na saldzie jednostki samorządu albo skarbu państwa. Znaczy, że na początku szpital ma sobie radzić sam, a na końcu i tak przychodzi ktoś z publiczną walizką z kasą.



Rys. WIDGET

Bo w Augustowie rok wcześniej ten sam szpital miał zapłacić ponad 1,6 mln zł za błąd medyczny z 2009 r., również z oddziału położniczo-ginekologicznego, i wtedy także potrzebował pożyczki od starostwa. To już nie jest incydent, ale metoda oddychania przez rurkę wetkniętą do cudzej kieszeni. Ten układ produkuje patologię bez potrzeby łamania prawa. Dyrektor szpitala może podpisywać coraz droższe kontrakty, bo musi mieć lekarzy. Lekarz może dyktować stawki, bo bez niego oddział zostanie zamknięty. NFZ może twierdzić, że płaci według zasad. Ministerstwo – mówić, że reformuje. Powiat – narzekać, że nie ma pieniędzy. Pacjent ma czekać. A gdy sprawa wybuchnie, wszyscy wskazują na kogoś obok.

Najbardziej bezczelne w tym systemie jest to, że długi szpitali nie muszą dyrektorów specjalnie obchodzić. Bo gdy prywatny przedsiębiorca źle policzy ryzyko, źle podpisze umowę, przegra proces, nie dopilnuje ubezpieczenia, to budzi się z komornikiem pod drzwiami. Publiczny szpital budzi się z czekiem ze starostwa. Oczywiście dyrektor może stracić stanowisko, może mieć kontrolę, może pisać wyjaśnienia i chodzić na komisje, ale wygenerowany jego decyzjami dług trafia do powiatu, województwa, budżetu, NFZ, programu naprawczego, pożyczki, obligacji czy innej restrukturyzacji.

Gdzie kucharek trzy

Polska wszak od trzech dekad udowadnia, że można stworzyć system, w którym za ochronę zdrowia odpowiadają jednocześnie wszyscy i nikt. Szpitale należą jednak w ogromnej części do powiatów, choć nie mają wpływu ani na wysokość składki zdrowotnej, ani na taryfy świadczeń, ani na decyzje systemowe.

Dane Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych oraz Związku Powiatów Polskich pokazują, że po raz nie wiadomo który system zaczyna dochodzić do ściany. Bo aż 91 proc. szpitali powiatowych wykazuje stratę, a średni ujemny wynik finansowy przekracza 6 mln zł. Ok. 50 szpitali, gdyby działało jak zwykłe spółki, musiałoby ogłosić upadłość.

Ale mimo kolejnych miliardów długu, kolejnych raportów i kolejnych konferencji, od dziesiątek lat zmieniają się ministrowie, prezesi NFZ, dyrektorzy szpitali i starostowie, ale mechanizm pozostaje identyczny. Szpitale zadłużają się, pojawiają się programy naprawcze, później kolejne programy naprawcze dla poprzednich programów naprawczych, następnie pojawia się potrzeba oddłużenia, restrukturyzacji albo nowego zastrzyku publicznych pieniędzy. W historii III Rzeczypospolitej państwo wielokrotnie przeprowadzało akcje oddłużania publicznych zakładów opieki zdrowotnej, uzasadniając je koniecznością utrzymania ciągłości leczenia, po czym długi znowu rosły.

Rozpowiedzialność

Szpitale już lata temu dosięgło bowiem zjawisko, które ekonomiści nazywają pokusą nadużycia. Polega ono na tym, że uczestnicy systemu wiedzą, iż konsekwencje finansowe ich decyzji zostaną rozłożone na innych. Dyrektor odpowiada za funkcjonowanie szpitala, ale nie odpowiada własnym majątkiem za wielomilionowy deficyt. Powiat nie ustala wysokości wyceny świadczeń, ale bywa zmuszony ratować własną placówkę. Ministerstwo Zdrowia nie prowadzi większości szpitali powiatowych, ale politycznie odpowiada za stan całego systemu. NFZ finansuje świadczenia, lecz nie ponosi odpowiedzialności za zarządzanie konkretną jednostką.

W rezultacie każdy uczestnik systemu ponosi odpowiedzialność tylko za fragment całości, podczas gdy konsekwencje finansowe kumulują się na koncie szpitala.

To dlatego w zadłużonych szpitalach zawierane są bardzo wysokie kontrakty z lekarzami. Dyrektorzy podpisują umowy, ponieważ alternatywą byłoby zamknięcie oddziału, utrata kontraktu z NFZ i jeszcze większe problemy finansowe. A właśnie te kontrakty powiększają koszty działalności placówek. Powstaje błędne koło, z którego pojedynczy szpital nie jest w stanie samodzielnie wyjść, ponieważ konkurencja o lekarzy obejmuje cały kraj. Przykład? Proszę bardzo: w kaliskim szpitalu wojewódzkim – według mediów – czterech lekarzy miało otrzymywać około 10 mln zł rocznie. Równocześnie placówka miała ponad 37 mln zł zaległości finansowych.

Same długi to i tak pikuś. Znacznie groźniejszy jest brak przejrzystego przypisania odpowiedzialności za ich powstawanie. Dopóki system będzie oparty na rozproszeniu kompetencji pomiędzy ministerstwo, NFZ, samorządy i kierownictwa poszczególnych placówek, dopóty każda kolejna dyskusja o miliardowych stratach będzie kończyła się dokładnie tak samo.

Augustów nie jest więc opowieścią o jednym szpitalu, jednym lekarzu i jednej przegranej sprawie. To opowieść o Polsce, w której szpital należy do samorządu, pieniądze idą z NFZ, a baty zbiera minister. I właśnie dlatego ten system jest tak trwały. Bo gdy każdy odpowiada tylko trochę, to nikt nie odpowiada za nic.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl c41309f7b5

Dorosłe dzieci mają żal

Ucz się i pracuj, a dojdziesz do...

Spece od rynku pracy jeszcze chwilę temu opowiadali, że po pandemii świat pracy zmienił się na zawsze i człowiek stał się najważniejszy. Że liczy się dobrostan, równowaga między życiem zawodowym a prywatnym, komfort psychiczny, elastyczność i szacunek. Menedżerowie prześcigali się w organizowaniu webinarów o wypaleniu zawodowym, działy HR wymyślały poduszki, owoce i sesje mindfulness, a specjaliści od employer brandingu tłumaczyli, że bez szczęśliwego pracownika nie ma szczęśliwej firmy.

Inżynieria noszenia worków

W podobny sposób przez lata wciskano maturzystom, że jeśli tylko wybiorą studia techniczne, to świat będzie leżał u ich stóp. Wystarczyło zdać matematykę, przemęczyć mechanikę, wytrzymałość materiałów, automatykę, elektrotechnikę, programowanie sterowników PLC i kilka innych przedmiotów. Potem miał przyjść czas nagrody. Inżynier miał chodzić po zakładzie z tabletem pod pachą, wydawać polecenia, uczestniczyć w strategicznych naradach i podpisywać dokumenty. Tego nie ma, a dane z polskiego przemysłu pokazują, że absolwenci politechnik może i będą mieli gdzie pracować, tyle że niekoniecznie tak, jak sobie to wyobrażali.

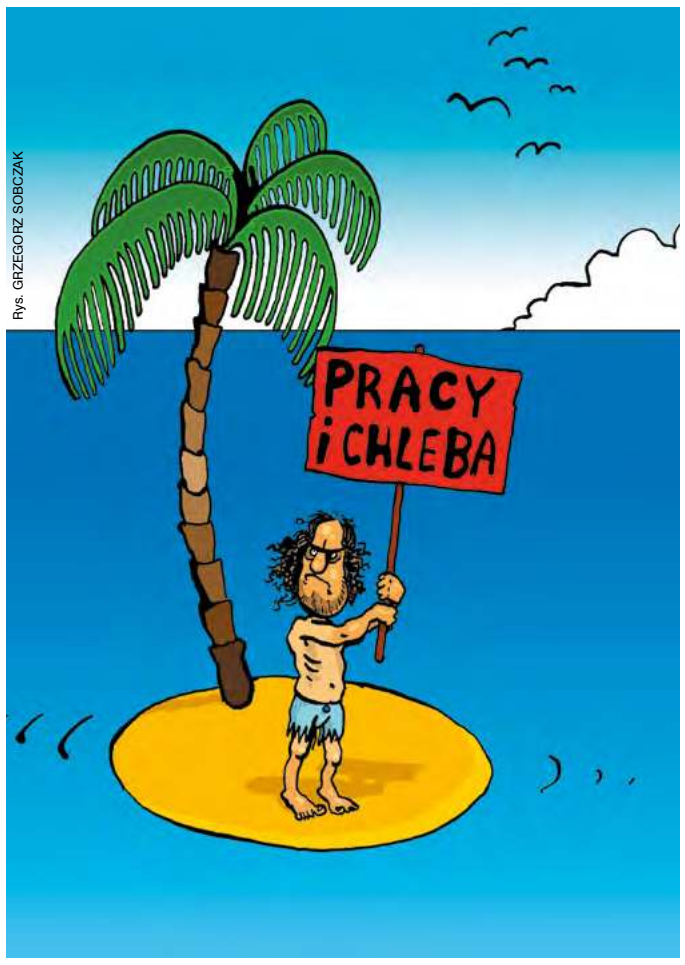
W polskiej gospodarce, mimo KPO i SAFE, sytuacja jest gorsza niż dobra. Dlatego firmy bardzo ostrożnie podchodzą do zatrudniania ludzi, którzy mają siedzieć przy biurkach i analizować strategie rozwoju na rok 2035. Potrzebują tych, którzy potrafią uruchomić maszynę, naprawić linię produkcyjną, wymienić falownik, znaleźć awarię automatyki albo sprawić, żeby fabryka nie stanęła o trzeciej nad ranem. Dlatego właśnie najbardziej poszukiwani są dziś pracownicy produkcyjni, budowlani, mechanicy, elektrycy, automatycy i spawacze. Armie kandydatów marzących o stanowiskach kierowników projektów, specjalistów rozwoju biznesu czy ekspertów od transformacji strategicznej muszą czekać na Godota. Gospodarka mówi absolwentom politechnik – oczywiście, że jesteście potrzebni, ale prosimy założyć kask, kamizelkę odblaskową, buty ochronne i ruszać na halę.

Ciekawie wygląda kwestia wynagrodzeń. Najwyższe podwyżki odnotowano w centrach dystrybucyjnych, gdzie płace wzrosły średnio o 5,1 proc. rok do roku. W centrach badawczo-rozwojowych było to 4,3 proc. W farmacji i chemii 2,1 proc. Natomiast w motoryzacji zaledwie 1,6 proc. Firmy płacą więcej tylko tym ludziom, bez których naprawdę nie są w stanie funkcjonować. Jeżeli ktoś potrafi naprawić zautomatyzowaną linię wartą kilkadziesiąt milionów złotych, to może liczyć na wzrost wynagrodzenia. Jeśli natomiast potrafi przygotować pięćdziesięciostronicową prezentację o synergii procesów, to niech aplikuje do Kauflandu.

Oczywiście istnieją stanowiska, na których zarabia się przyzwoite pieniądze. Dyrektorzy mogą liczyć nawet na 57 tys. zł brutto miesięcznie. Kierownicy działów projektowania dochodzą do 35 tys. zł. Dyrektorzy centrów dystrybucyjnych otrzymują do 32 tys. zł. Ale takich stanowisk jest niewiele. Fabryka może zatrudniać tysiąc osób, ale dyrektora ma zwykle jednego. Kierowników kilku. Za to operatorów, techników, automatyków, elektryków i pracowników produkcji dziesiątki albo setki.

Doktorat z ustawiania słoików

Latami rodzice słyszeli od nauczycieli, że bez studiów dziecko skończy marnie. Uczniowie od rodziców – że muszą się uczyć, bo inaczej będą pracować za grosze. W efekcie przez trzy dekady Polska wyprodukowała miliony magistrów, licencjatów, specjalistów od zarządzania, marketingu, europeistyki, stosunków międzynarodowych, bezpieczeństwa narodowego, psychologii biznesu, komunikacji społecznej i kierunków, których nazwy potrafią zmieścić się na dyplomie wyłącznie w dwóch linijkach. Na szczęście dla nich wszystkich polska gospodarka nie zostawi ich na lodzie.



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Zawsze znajdzie się miejsce przy kasie, na hali sprzedaży albo na wózku widłowym.

Gigantycznym pracodawcą jest Biedronka. Zatrudnia niemal 90 tys. osób. Średni wiek pracownika wynosi tam 39,6 roku, co pokazuje, że nie jest to wyłącznie zajęcie dla studentów szukających pracy na wakacje. Kobiety stanowią 84,4 proc. wszystkich zatrudnionych. A w sklepach udział kobiet sięga aż 89,9 proc. W centrach dystrybucyjnych sytuacja wygląda odwrotnie – tam kobiety stanowią już tylko 25,2 proc.

W Kauflandzie pracuje ok. 16 tys. osób. Najliczniejszą grupę stanowią osoby pomiędzy 40. a 50. rokiem życia. To oznacza, że handel nie tylko przyjmuje ludzi po studiach, ale pozwala też doczekać emerytury. Średni staż pracy w Kauflandzie wynosi osiem lat.

Dane z Lidla mówią, że sieć zatrudnia 29 tys. ludzi. Są wśród nich osoby pracujące od początku działalności firmy w Polsce, czyli od 24 lat.

Równie imponujący pod względem trwałości zatrudnienia jest Aldi. Sieć zatrudnia około 5 tys. osób. Co 10. pracownik przepracował tam ponad dekadę. W czasach, gdy eksperci od rynku pracy opowiadają o mobilności zawodowej, przebranżowieniach i nieustannym rozwoju kompetencji, okazuje się, że część ludzi odnalazła życiowe spełnienie po prostu przy dostawach, ekspozycji towarów i obsłudze klientów.

Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, że handel oferuje elastyczne grafiki, możliwość pracy zmianowej oraz stosunkowo łatwe wejście do zawodu. I właśnie tutaj pojawia się promyk nadziei dla kolejnych roczników absolwentów. Jeżeli bowiem gospodarka nie będzie w stanie stworzyć wystarczającej liczby miejsc pracy dla magistrów zarządzania projektami, specjalistów od zrównoważonego rozwoju i ekspertów od komunikacji międzykulturowej, to sektor handlowy już dziś pokazuje, że dysponuje ogromnym potencjałem absorpcji kapitału ludzkiego.

Habilitacja ze stresu

Rynek pracy zaś wszedł w bardzo ostry zakręt i wróciły stare, dobrze znane czasy presji, niepewności, strachu przed zwolnieniem i oczekiwania, że pracownik będzie wdzięczny za sam fakt posiadania etatu.

Według globalnych badań zaledwie 22 proc. pracowników na świecie uważa dziś, że ich miejsce pracy jest naprawdę bezpieczne. Cztery osoby na pięć żyją z przekonaniem, iż mogą okazać się zbędne. Nad Wisłą jest tak samo.

Okazuje się, że człowiek może mieć statystycznie świetny rynek pracy za oknem i jednocześnie codziennie zastanawiać się, czy za kilka miesięcy nadal będzie miał robotę. Niskie bezrobocie w przemówieniach rządowych notabli nie uspokaja już nikogo.

Polska nie jest tutaj wyjątkiem. W Holandii poczucie bezpieczeństwa deklaruje 19 proc. pracowników, w Szwecji – 18 proc., w Czechach – 12 proc., w Korei Południowej – 9 proc., na Tajwanie – 11 proc., a w Japonii – tylko 5 proc. Nawet najbardziej rozwinięte gospodarki świata nie potrafią dziś dać ludziom przekonania, że ich stanowisko pracy będzie istnieć również za rok.

Przyczyn jest wiele. Automatyzacja, sztuczna inteligencja, restrukturyzacje, przenoszenie procesów między krajami, cięcie kosztów i coraz większa presja na wyniki. Firmy funkcjonują dziś w warunkach permanentnej niepewności. Nie chodzi już nawet o to, czy przedsiębiorstwo zarabia. Chodzi o to, czy zarabia wystarczająco dużo, aby właściciele nie uznali, że można zarabiać jeszcze więcej po kolejnej redukcji zatrudnienia.

I ponad połowa specjalistów i menedżerów uważa, że najważniejszym celem firm są wyniki finansowe. Dobrostan pracowników, kultura organizacyjna czy budowanie przyjaznego środowiska pracy schodzą na dalszy plan. Niemal co piąty badany twierdzi wręcz, że właśnie te elementy najmocniej straciły na znaczeniu.

Zmienia się również podejście do czasu pracy. Przez lata politycy, związki zawodowe i eksperci opowiadali o skracaniu tygodnia pracy. Tymczasem badania pokazują, że aż 62 proc. pracowników wykonuje każdego tygodnia do pięciu nadgodzin, za które nie otrzymuje żadnej kasy. Żeby tylko! 12 proc. pracowników oddaje swoim pracodawcom ponad 16 godzin tygodniowo całkowicie za darmo. Rocznie to równowartość ponad 20 pełnych tygodni pracy za nic.

Kiedyś urlop oznaczał odpoczynek. Dzisiaj coraz częściej jest to zmiana lokalizacji wykonywania obowiązków służbowych. Co czwarty pracownik podczas wakacji regularnie sprawdza służbową pocztę elektroniczną lub firmowe komunikatory. Niemal połowa przygotowuje się psychicznie do powrotu do pracy jeszcze przed zakończeniem wypoczynku. A co piąty przyznaje, że sam wyjazd urlopowy powoduje u niego stres związany z obowiązkami zawodowymi.

A wszystko dzieje się w świecie, w którym przedsiębiorstwa od lat alarmują o niedoborze pracowników. Teoretycznie powinniśmy więc obserwować sytuację, w której firmy zabiegają o ludzi, podnoszą wynagrodzenia i dbają o ich komfort. Praktyka pokazuje jednak coś innego.

Może dlatego, że wiele firm żyje od kwartału do kwartału, od raportu do raportu i od prezentacji do kolejnej prezentacji. Dlatego zwycięża w nich świadomość, że skoro można wymagać więcej, płacić tyle samo i jeszcze przekonywać ludzi, że gdzie indziej i tak nie znajdą nic lepszego, to po co inwestować w dobrostan kogoś, komu wmówiono, że jak się wyedukuje, to pracodawcy będą się o niego bili.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● W miłujących aktualną władzę mediach w kontekście zbrojeniówki masowo pojawiają się nagłówki o „lawinie rekrutacji", „presji na zatrudnienie" i tysiącach miejsc pracy, które mają czekać na specjalistów. Bezpośrednim powodem wzrostu zatrudnienia są rekordowe wydatki Polski na obronność oraz uruchomienie SAFE. Polska Grupa Zbrojeniowa zatrudnia ponad 23 tys. osób, czyli prawie połowę pracujących w całej branży. Na stronie internetowej PGZ znajduje się obecnie nieco ponad 220 ofert pracy i szacuje się, że do końca roku holding może zatrudnić około tysiąca nowych pracowników. Tysiąc etatów to wzrost zatrudnienia około 4 proc. w ciągu roku. Trudno nazwać to rewolucją. Jeszcze ciekawiej robi się wtedy, gdy spojrzymy na całą gospodarkę. W całej polskiej zbrojeniówce pracuje ok. 50 tys. osób. Po uwzględnieniu podwykonawców, producentów komponentów oraz firm współpracujących liczba ta może być nawet dwukrotnie większa. Oznaczałoby to około 100 tys. osób związanych z przemysłem obronnym. Tysiąc nowych miejsc pracy to więc ledwie jeden procent wzrostu. W kraju liczącym prawie 38 mln mieszkańców i dysponującym jedną z największych gospodarek Unii Europejskiej trudno więc mówić o sektorze, który już dziś zmienia strukturę całego rynku pracy, a nagłówki mówiące o „lawinie rekrutacji" warto czytać nader ostrożnie.

● Od rządu słyszymy o odpornej gospodarce, rosnących inwestycjach i Polsce, która mimo wszystkich światowych zawirowań rozwija się szybciej od większości krajów Europy. A jednak w województwie świętokrzyskim właśnie upadła firma, która przez ponad ćwierć wieku była jedną z wizytówek regionalnego budownictwa. Anna-Bud działała od 1999 r. W tym czasie zrealizowała około 270 inwestycji o łącznej wartości 4,5 mld zł i zdobyła ponad sto branżowych nagród. Przez lata była przykładem przedsiębiorstwa, które potrafiło zdobywać kontrakty i budować wszystko – od obiektów użyteczności publicznej po inwestycje komercyjne. Dziś po tej historii sukcesu pozostało około 240 mln zł zadłużenia, dramat pracowników oraz syndyk, który stan spółki ocenia jako katastrofalny. W marcu rozpoczęto postępowanie układowe. Miało ono dać przedsiębiorstwu szansę na porozumienie z wierzycielami i uniknięcie bankructwa. Nie wyszło. Sąd ogłosił upadłość spółki. I właśnie wtedy zaczęły wychodzić na jaw informacje pokazujące, jak wygląda rzeczywistość ukryta za opowieściami o świetnej kondycji gospodarki. Bo trudno mówić o sukcesie, gdy przedsiębiorstwo zatrudniające jeszcze około 90 osób nie ma dla nich pracy, a zaległości tylko wobec pracowników przekraczają 5 mln zł. Jeszcze trudniej uwierzyć w propagandę sukcesu, gdy okazuje się, że ostatnią pełną pensję ludzie otrzymali w lutym, za marzec wypłacono jedynie część wynagrodzenia, a później pojawiały się już tylko pojedyncze przelewy. Z przedsiębiorstwa wcześniej odeszli pracownicy księgowości, księgi rachunkowe nie zostały prawidłowo zamknięte, a dokumentacja wymaga mozolnego porządkowania. Trudno ustalić, które kontrakty zostały rozliczone, jakie są rzeczywiste należności i zobowiązania. Nie jest to wyłącznie problem syndyka, bo taki bałagan oznacza opóźnienia w przygotowaniu dokumentów niezbędnych do wystąpienia do Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych, przez co ludzie, którzy od miesięcy czekają na swoje pieniądze, poczekają jeszcze dłużej. Łatwo powiedzieć, że przedsiębiorstwo było źle zarządzane. Trudniej odpowiedzieć na pytanie, dlaczego firma, która przez ćwierć wieku realizowała kontrakty warte miliardy złotych, nagle przestała sobie radzić. Według byłego prezesa spółka prowadzi obecnie postępowania sądowe dotyczące waloryzacji kontraktów, których łączna wartość przekracza 80 mln zł. Gdyby przedsiębiorstwo odzyskało te pieniądze odpowiednio wcześnie, być może jego historia wyglądałaby dziś inaczej. Zamiast tego firma doczekała się wypowiedzenia umów kredytowych przez banki. Scenariusz dokładnie taki jak przed kilkunastoma laty, gdy premierem był Tusk, a firmy budowlane padały masowo, bo państwo miało waloryzację wzrostu cen materiałów gdzieś.


Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Kłopoty z płynnością finansową zwykło się kojarzyć z niewielkimi firmami, które nie mają dostępu do taniego finansowania, żyją od faktury do faktury i czasem muszą wybierać między zapłatą dostawcy a wypłatą pensji pracownikom. Tymczasem u nas z terminowym regulowaniem zobowiązań problem ma jeden z najbardziej rozpoznawalnych koncernów kosmetycznych świata. UOKiK poinformował właśnie, że nałożył na Avon karę w wysokości prawie 1,15 mln zł za powstawanie zatorów płatniczych. Przedsiębiorstwo spóźniało się z regulowaniem należności wobec aż 233 kontrahentów. Według UOKiK po terminie zapłaconych zostało 2189 faktur. Najdłuższe opóźnienie wyniosło 129 dni, a „aż 551 faktur nie było w ogóle uregulowanych". Duży koncern zwykle ma dostęp do kredytów, może negocjować z bankami, przesuwać wydatki i finansować działalność z różnych źródeł. Mały przedsiębiorca musi zapłacić pracownikom, opłacić ZUS, podatki, czynsz, leasing samochodu czy ratę kredytu niezależnie od tego, czy jego odbiorca uregulował fakturę. Dlatego każda niezapłacona należność oznacza bardzo realne problemy z własną płynnością. W ten właśnie sposób zatory płatnicze rozlewają się po gospodarce niczym kostki domina przewracające kolejne przedsiębiorstwa. Tego samego dnia urząd poinformował również o ukaraniu spółki Neptun z Lublina. Firmie zajmującej się dystrybucją produktów wykorzystywanych przy budowie infrastruktury wodociągowej, kanalizacyjnej i gazowej przyłożono karą wynoszącą 1,17 mln zł. To pokazuje, że problem zatorów płatniczych nie ogranicza się do jednej branży. No i jeszcze jedno: milion złotych kary zasili budżet państwa. Państwo dostanie więc kasę za to, że przedsiębiorcy przez wiele tygodni lub miesięcy nie mogli korzystać z własnych pieniędzy. Tymczasem ci, którzy rzeczywiście ponieśli konkretne straty, nadal muszą dochodzić swoich roszczeń na własną rękę i walczyć o przetrwanie. Trudno więc znaleźć przekonujące uzasadnienie, dlaczego największym beneficjentem opóźnionych płatności ma być budżet państwa, a nie ci, którzy nie dostali pieniędzy za uczciwie wykonaną pracę.

TTJ

eprasa.pl c41309f7b5

Cena świętości

Przestój w fabryce aureoli



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Władysław Kosiniak-Kamysz może mieć powody do niepokoju. Dwoi się i troi, by rząd, w którym jest wicepremierem, nie szedł na otwartą wojnę z Kościołem, w zamian zaś oczekuje, że nazwisko jego ciotki Stefanii Łąckiej pojawi się rychło w kalendarzu liturgicznym. Dobre relacje z biskupami to dla niego priorytet nie mniej ważny, niż zbrojenia. Łącka czeka w kolejce do wyniesienia na ołtarze od 2021 r. i pewnie se jeszcze trochę poczeka, bo w produkcji nowych świętych są opóźnienia.

Tak przynajmniej twierdzą autorzy włoskiego portalu „Silere non possum" („Nie możemy milczeć") dość dobrze zorientowani w watykańskich realiach, choć niespecjalnie ukrywający swoje konserwatywne poglądy. W związku z tymi poglądami za większość złych rzeczy w Kościele winią liberałów, z nieżyjącym Franciszkiem na czele. Redaktorzy życzyliby sobie, żeby Leon XIV posprzątał stajnię Augiasza, którą zostawił mu w spadku poprzedni papież, ale mają coraz mniej nadziei. W amerykańskim szefie Kościoła widzą kontynuatora linii Bergoglia, który zmienia tylko dekoracje. Niemniej podpowiadają mu, gdzie leżą franciszkowe złogi, ujawniając przy tym co nieco z watykańskiej kuchni.

„Silere non possum" donosi zatem, że Dykasteria Spraw Kanonizacyjnych, zwana też fabryką świętych, problemy ma zgoła dalekie od świętości. Źródeł kryzysu autorzy upatrują w osobie prefekta, czyli szefa tego urzędu, którym od 2020 r. jest kard. Marcello Semeraro. Jako się rzekło, autorzy ewidentnie nie lubią Franciszka, a Semeraro przedstawiony jest w tekście jako jego totumfacki. Kardynał jawi się jako zawistny karierowicz, który otoczył się wianuszkiem pochlebców i intrygantów. Ci zaś z dykasterii uczynili własny folwark, z tym że niewydajny. Procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne utknęły w biurokratycznym labiryncie, przez co kolejni błogosławieni i święci ogłaszani są z opóźnieniem. To, co owieczkom przedstawia się jako proces metafizyczny, więcej ma wspólnego z ustawionymi przetargami w instytucjach państwowych, niż z mistyką.

Szefostwo ustawia procesy po uważaniu, wyświadczając przysługi zaprzyjaźnionym hierarchom, potrzebującym nowych świętych. Ci zaś, którzy nie są w łaskach urzędników, mogą się pożegnać z aureolą dla swoich kandydatów.

Oficjalnie świętość danej osoby to osobista prerogatywa Pana Boga, w praktyce jednak niewiele ma on do powiedzenia w tej kwestii.

Jako głównego hamulcowego w dykasterii watykaniści wskazują abp. Fabio Fabene, jej sekretarza, zaufanego człowieka kard. Semeraro. „Fabene to arcybiskup, który zawsze dbał o własne interesy i zawsze działał z prawdziwym rozmachem" – twierdzą autorzy. Faworyzuje swoich, ignoruje skargi, dba o to, żeby trwać i nie spaść ze stołka. Tak się rozsiadł w Kurii Rzymskiej, że zaczął zlecać remonty zaprzyjaźnionym firmom, co zwróciło uwagę urzędników dbających o transparentność watykańskich wydatków i do dykasterii przyszedł audytor. Audyt trwa, przez co procesy się jeszcze bardziej opóźniły, a Kosiniak-Kamysz nerwowo zerka w stronę Rzymu.

Nie pierwsze to kontrowersje związane z fabryką świętych. Wspominany Franciszek zarządził audyt w dykasterii w 2016 r. i wówczas wyszło, co, jak i za ile. Jak donosił „The Guardian" pozytywne przeprowadzenie procesu beatyfikacyjnego to koszt około pół miliona euro, zaś kanonizacja kosztuje jeszcze więcej. Swoje musi zarobić postulator, czyli człowiek przygotowujący CV przyszłego świętego, do kanonizacji potrzebne są też dwa cuda, które muszą potwierdzić ludzie ze stopniami naukowymi, co też tanie nie jest. „Jak dowiedli w swoich, opublikowanych pod koniec 2015 roku, książkach Emanuele Fittipaldi („Avarice") oraz Gianluigi Nuzzi („Merchants in the Temple"), proces kanonizacyjny na przestrzeni lat stał się w Stolicy Apostolskiej wielkim finansowym przedsięwzięciem. Dwaj eksperci piszący o Watykanie udowodnili, że powszechną praktyką stało się płacenie watykańskim urzędnikom zawrotnych sum (dochodzących do kilkuset tysięcy euro) za przyspieszenie przewlekłych kanonizacji. Do tego dochodziły drogocenne prezenty dla kościelnych oficjeli – zdaniem Nuzziego zwłaszcza dla prałatów, biorących udział w głównych uroczystościach – w ramach podziękowań na zakończenie całej ceremonii" – donosił „Newsweek".

Franciszek wdrażał środki naprawcze, ale jak zwykle na dobrych chęciach i szumnych deklaracjach się skończyło. W 2018 r. szefem fabryki świętych uczynił kard. Giovanniego Angelo Becciu, tego samego, którego w 2020 r. pozbawił przywilejów kardynalskich po ujawnieniu afer finansowych z nim w roli głównej. Becciu w 2023 r. został skazany przez sąd watykański na pięć i pół roku więzienia. W marcu 2026 r. watykański Sąd Apelacyjny uchylił ten wyrok z powodów proceduralnych i nakazał ponowne rozpatrzenie sprawy. Na jego miejsce w Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych Franciszek dał Semeraro, pod którego rządami fabryka ma się tak jak powyżej, czyli jak zawsze. Nie święci garnki lepią, ale na świętych da się kręcić niezłe wały. Żal tylko Kosiniaka-Kamysza. I Polski, która jest zakładnikiem jego marzenia o świętej ciotce.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Rozpoczęto etapowe zdejmowanie rusztowań przy kilkudziesięciometrowym pomniku Matki Bożej Miłosiernej, który powstaje w miejscowości Konotopie w gminie Kikół (woj. kujawsko-pomorskie). Przypomnijmy: budowę monumentu finansuje miliarder Roman Karkosik, właściciel grupy przemysłowej Boryszew. Pomnik osiągnie 55,6 m wysokości i ma być najwyższym nie tylko w Europie. Dla porównania pomnik Chrystusa Zbawiciela w Rio de Janeiro ma 38,5 m wysokości, a pomnik Jezusa Chrystusa w Świebodzinie 52,5 m. Uroczyste poświęcenie figury nastąpi w połowie sierpnia, kiedy przypada uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W najbliższym czasie betonową Maryję czeka jeszcze montaż podniesionych rąk na korpusie. Postulujemy o umieszczenie na nich wyrzutni rakietowych. Modlitwa „Pod Twoją Obronę" zyska jakiś sens.

✚ Według danych Systemu Informacji Oświatowej przekazanych Rzecznikowi Praw Obywatelskich przez minister edukacji Barbarę Nowacką, po wejściu w życie rozporządzenia ograniczającego liczbę godzin religii z dwóch do jednej tygodniowo, pracę straciło 4515 nauczycieli religii. Zdaniem Stowarzyszenia Katechetów Świeckich przedstawione dane nie oddają pełnej skali skutków zmian wprowadzonych przez Ministerstwo Edukacji. Według SKŚ co najmniej drugie tyle osób zostało wypchniętych z zawodu poprzez tzw. ukryte bezrobocie, przechodzenie na urlopy dla poratowania zdrowia czy wcześniejsze emerytury. Stowarzyszenie apeluje o podjęcie działań zmierzających do naprawienia skutków niekonstytucyjnego rozporządzenia. My apelujemy do minister Nowackiej o całkowitą aborcję religii ze szkół.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ O. Tadeusz Rydzyk, przemawiając pierwszego dnia 35. Pielgrzymki Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę, połączył przyjemne z pożytecznym. Zdyskredytował media prawicowe i zareklamował własny biznes. „Dobrze, że są, choć ja się z nimi nie zgadzam. Bo np. one mają reklamy antyrodzinne, biorą za to pieniądze. A nasze dzieła to wy utrzymujecie" – zwrócił się do pielgrzymów. „Do mediów potrzeba dziennikarzy. Macie młodzież, to nie wysyłajcie jej na uniwersytety, te marksistowskie, na dziennikarstwo, bo będą następni kłamcy. Po to została stworzona Akademia Kultury Społecznej i Medialnej. Liczymy na świadomych katolików i odważnych" – powiedział Rydzyk. Przede wszystkim zamożnych. Jak widać, jasnogórską Maryję też można zmonetyzować.

✚ Prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Mirosławowi M., byłemu proboszczowi parafii w Przypkach (woj. mazowieckie). Śledczy zarzucają mu zabójstwo Anatola C. ze szczególnym okrucieństwem, wskazując, że ofiara żyła w momencie podpalenia. Do zabójstwa doszło pod koniec lipca 2025 r. Wtedy duchowny miał uderzyć Anatola C. siekierą, polać go benzyną i podpalić. Z informacji Prokuratury Okręgowej w Radomiu wynika, że do pierwszej próby morderstwa miało dojść już w czerwcu 2025 r. Mirosław M. miał wówczas polecić Anatolowi C. sprawdzenie silnika samochodu, po czym zadać mu silny cios w głowę. Gdy na miejscu pojawił się świadek, duchowny miał zabrać poszkodowanego na plebanię i wezwać pogotowie. Biegli psychiatrzy uznali Mirosława M. za osobę w pełni poczytalną. Były proboszcz przyznał się do winy.

KLECHA

Pożytki z nieużytków

Puste świątynie w recyklingu

„Puste kościoły" to nie tylko metafora opisująca gwałtowny spadek praktykujących katolików, ale i praktyczny problem na rynku nieruchomości i polityczny. W mediach katolickich i na kazaniach przed laty straszono owieczki wizją kościołów przerabianych na dyskoteki na zgniłym Zachodzie, ale z czasem problem ten zaczął widnieć także na polskim horyzoncie. Utrzymanie obiektu sakralnego to nie takie hop-siup: podatek, ubezpieczenie, media, bieżące i gruntowne remonty – wszystko kosztuje. Dopóki wiernych było full, utrzymanie kościoła nie stanowiło żadnego problemu. Parafianie zrzucali się z naddatkiem, który proboszcz mógł wykorzystać na mniej zbożne cele. Aby zachować dotychczasowy standard życia, pleban musi z czegoś zrezygnować. Prędzej poświęci (w sensie zamknie) wymagający dużych nakładów finansowych kościół niż plebanię. Resztki owieczek stłoczy w mniejszej kaplicy, a molochem niech się inni martwią. Nawet bezbożna dyskoteka w świątyni jest mu mniej straszna niż długi.

Choć Piłat w katolickim imaginarium występuje jako postać negatywna, to kler bardzo często korzysta z flagowego dla niej gestu umycia rąk. Schemat jest prosty jak u kapitalisty: prywatyzujemy zyski, uspołeczniamy straty. Kiedy więc księża szukają ziemi pod nową świątynie, uderzają do samorządowców po bonifikatę i otrzymują grunt za bezcen. Póki parafia prosperuje, politykom od niej wara, chyba że przychodzą z dotacją.

Kiedy po okresie prosperity nadchodzi bessa, księża pozbywają się problemu i odpowiedzialności, a pustostany przejmuje państwo lub samorząd.

Żadne zaklęcia już nie zadziałają i jakoś opuszczone kościoły trzeba będzie zagospodarować, zwłaszcza że są to często obiekty zabytkowe o oryginalnej architekturze. Zburzyć nie pozwoli konserwator zabytków, na kupno stać mało kogo. Wbrew pozorom obrzydliwie bogatych bezbożników czyhających na świątynie, aby je przerobić na burdel, nie ma na pęczki. Zresztą w zsekularyzowanych społeczeństwach tego typu bluźnierstwo spotka się raczej ze wzruszeniem ramion niż sumienia. Coś trzeba począć z tym gorącym kartoflem.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kombinować zaczynają urzędnicy z województwa kujawsko-pomorskiego, którzy pojechali na szkolenie zorganizowane w holenderskim Groningen. W oparach marihuany rozmawiali z europejskimi odpowiednikami o tym, co zrobić, gdy zwietrzeją w Polsce opary kadzidła. Niderlandzcy koledzy mają w tym więcej doświadczenia, bo tamtejsze społeczeństwo zmądrzało kilkadziesiąt lat wcześniej. Kawiarnia w kościele to dla nich chleb powszedni, podczas gdy w Polsce ledwo wychodzi z etapu tematu tabu.

„Wszystko odbywa się w ramach międzynarodowego projektu RELIHE dotyczącego dziedzictwa religijnego na obszarach wiejskich. Od początku jego realizacji głównym celem jest wymiana dobrych praktyk między europejskimi krajami" – czytamy na stronie TVP3 Bydgoszcz. Regionalna odnoga publicznej telewizji cytuje Jura Bekooya, inżyniera budownictwa z Fundacji Kościołów w Groningen: „Ludzie mówią, że kościoły są porzucane i bezużyteczne. To nieprawda. Nie mamy takich kościołów. Każdy z nich jest bardzo pożyteczny. Dla mieszkańców wsi taki kościół jest swego rodzaju przestrzenią, w której mogą się spotkać, przebywać i porozmawiać".

Lokalni dziennikarze TVP przytaczają europejskie sposoby wykorzystania porzuconych świątyń, jak np. kino, sala koncertowa czy basen. Cytują też Krzysztofa Wasitę, dyrektora Departamentu Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Kujawsko-Pomorskiego, który rzeczowo tłumaczy: – Ludzie mają świadomość, że to chyba jedyna możliwość, by pamięć o tym dziedzictwie i kulturze przetrwała. Pojawiały się głosy: jak to, w kościele ma być kawiarnia? Jednak coraz częściej dostrzega się, że za kilka lat może się okazać, iż najważniejsze było to, że budynek w ogóle przetrwał. Ma swoją historię i być może kiedyś wróci do swojej pierwotnej funkcji.

Urzędnicy debatują, media relacjonują, wierni póki co siedzą cicho. Z katolickich mediów tylko „Niedziela" zainteresowała się tematem, ale bez alarmistycznego tonu. Wszystko odbywa się beznamiętnie. Kościoły umierają, stojąc.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl c41309f7b5

Żadnego faulu nie było

Polityka w sporcie? Nic nowego pod słońcem

W ostatnim czasie informacje sportowe coraz bardziej przypominały wiadomości polityczne. Wpływ polityki na sport nie jest niczym nowym. Rys historyczny później, teraz zastanówmy się, co tu i teraz. Po anulowaniu przez FIFA czerwonej kartki pokazanej napastnikowi reprezentacji USA Folarinowi Balogunowi w meczu z Bośnią i Hercegowiną, spowodowanym interwencją prezydenta USA Donalda Trumpa, świat oniemiał. Nie wiadomo było, czy oburzać się, czy śmiać się z tego. Najpewniej i to, i to. Ale gorzki jest to śmiech.

Tak jawnej ingerencji polityki w sport świat jeszcze nie widział. Tłumaczenie Trumpa, że żadnego faulu ze strony najlepszego piłkarza USA nie było, bo „dwaj wspaniali sportowcy po prostu wpadli na siebie" jest żałosne. Aż dziwne, że żaden z doradców nie podpowiedział prezydentowi, iż po prostu się ośmiesza. A przy okazji kompromituje FIFA z wielkim przyjacielem Trumpa Giannim Infantino na czele. Ale prezydent USA otoczony jest gromadą lizusków, a zresztą i tak nikogo by nie posłuchał, bo on wszystko wie najlepiej i zna się na przepisach gry w soccer.

Rasizm po paragwajsku

Dobrze, zostawmy tę sprawę (choć niewątpliwie mówić się będzie o niej długo). Mnie przeraziło coś innego: po jednym z najsłabszych meczów mundialu między Paragwajem a Francją paragwajska senatorka Celeste Amarilla w internetowych wpisach w niewybredny i rasistowski sposób obrażała kapitana Francuzów Kyliana Mbappé. Tylko kilka zdań: „Skolonizowany Kameruńczyk, który na siłę udaje Francuza, jest arogancki, zarozumiały i brzydki", „Nigdy nie nauczył się pisać", „Zamiast mleka matki, ssał kokosy", „Najbardziej cywilizowane dźwięki, jakie słyszał, wydawały szympansy". Ludzie! Jak w ogóle można myśleć w ten sposób, a jeszcze publicznie wydawać podobne opinie? Zwłaszcza kiedy jest się ważną polityczką.

Byłem oburzony, ale pomyślałem zaraz, że i u nas znaleźliby się wpływowi ludzie, którzy wygłaszają opinie, po których włos jeży się na głowie, a które jeszcze jakiś czas temu nie przeszłyby nikomu przez gardło. Nie to jest najgorsze, że znajdują się takie jednostki. Kretynów nie brakuje. Przeraża, że niemała grupa ludzi oddaje głosy na Celeste Amarillę czy Grzegorza Brauna – widocznie takie słowa i taka argumentacja padają na podatny grunt.

Oczywiście oglądałem mecz Paragwaj–Francja. Mogę powiedzieć pani senatorce Amarilli, że gdyby sędziowanie nie było rozpaczliwie nieudolne, reprezentacja jej kraju nie kończyłaby meczu w 11, a najpewniej w 10 lub dziewięciu. Trudno było policzyć ostre wejścia Paragwajczyków w nogi rywali, których sędzia nie ukarał choćby żółtą kartką.

W obronie Kyliana Mbappé stanął oczywiście prezydent Francji Emmanuel Macron. Jeśli chodzi o mieszanie się polityków do sportu, sam Macron nie jest bez grzechu. Swego czasu rozmawiał właśnie z Mbappé i namówił go, aby został w Paris Saint-Germain. Chodziło o to, aby urodzony w Paryżu piłkarz grał nadal ku chwale stolicy Francji. Argumentacja podziałała na rok.

Teraz prezydent Macron włączył się do walki o najbardziej chyba obiecującego kolarza Paula Seixasa. 19-letniego Francuza chciałaby mieć w składzie każda zawodowa drużyna. Trwa absolutna hegemonia Słoweńca Tadeja Pogačara, który gdzie startuje, tam wygrywa. Przełamanie tej dominacji jest marzeniem właścicieli i dyrektorów wszystkich bogatych drużyn, więc trwa swoista licytacja, kto da więcej za kolarza, który w przyszłości może zdetronizować Pogačara. Ponoć stawka doszła już do 13 mln euro za sezon; w futbolu nie byłaby szokująca, ale w kolarstwie – zwłaszcza dla tak młodego zawodnika – robi niesamowite wrażenie.

Macron bardzo chce, żeby Seixas pozostał w dotychczasowej drużynie, francuskim Decathlonie. Francuzi są rozkochani w kolarstwie, na ich ziemiach od 1903 r. rozgrywa się najbardziej prestiżowy wyścig Tour de France, w przeszłości mieli wielkie sukcesy, a od pewnego czasu panuje posucha. Macron, dopóki jest jeszcze przy władzy, chciałby to zmienić.

Niewykluczalni

MKOl postanowił dopuścić do udziału w igrzyskach olimpijskich sportowców z Rosji i Białorusi. To bardzo świeża nowość. Wiele wskazuje na to, że i tu wmieszał się wszechwładny prezydent USA, który nie raz powtarzał, że chciałby widzieć ich podczas najbliższych igrzysk, które odbędą się w Los Angeles. Decyzja musiała zapaść właśnie teraz, bo w różnych dyscyplinach zaczynają się właśnie olimpijskie eliminacje.

Od rozpoczęcia pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę nic się nie zmieniło. Ale zmienił się świat. Rozpoczęły się nowe konflikty. Dlaczego Rosjanie i Białorusini mają być odsunięci od sportu, a nikt nie mówi o Izraelczykach? Co z wojnami w Afryce? Wreszcie konflikt USA i Iranu...

Jeśli Czytelnicy zapragną przykładów mieszania sportu z polityką z naszego podwórka, znajdę je bez trudu. Głośna jest sprawa afer prezesa PKOl Radosława Piesiewicza. Piesiewicz był związany ze środowiskiem PiS-u, a prezydent Andrzej Duda bardzo pomógł mu w sięgnięciu po zaszczytny tytuł. Opisywałem to kilkukrotnie.

Polacy wybrali na swojego prezydenta kibica Lechii Gdańsk, w przeszłości kibola, uczestnika ustawki, w której walczyła uzbrojona w kastety grupa stadionowych bandytów.

Sport w Polsce, niezależnie od ustroju, jest państwową sprawą. Sukcesy windują rządzącym słupki poparcia w górę, porażki – w przeciwną stronę. W czasach PRL dochodziły do tego zmagania krajów z dwóch stron żelaznej kurtyny, co jeszcze bardziej tę rywalizację zaostrzało. Jako dziennikarz sportowy tamtych czasów uczestniczyłem czynnie w tworzeniu sportowej propagandy sukcesu. Usprawiedliwieniem dla mnie może być fakt, że robili to samo wszyscy dziennikarze sportowi i to po obu stronach żelaznej kurtyny. Jednak wydaje mi się, że robiliśmy to w mniej agresywny sposób, niż dzieje się to dziś. Trochę miejsca dla prawdziwego sportu jednak zostawało.

Igrzyska Kommodusa

Przedstawiając obiecany rys historyczny tematu, powinienem zacząć od starożytnej Grecji i rozgrywanych w niej igrzysk olimpijskich. W powszechnej świadomości jawią się jako wzór szlachetnej rywalizacji wielkich indywidualności. Ówczesna Grecja składała się z państw-miast, rywalizujących między sobą, często militarnie. Rywalizacja przenosiła się do Olimpii, gdzie raz na cztery lata rozgrywano igrzyska.

Nie była to tylko szlachetna i bezinteresowna rywalizacja atletów. Zawodnicy walczyli w imię rozsławienia swoich ojczyzn, nie zawsze uczciwie. Sami bohaterowie w Olimpii dostawali wieniec laurowy, ale przez tych, których reprezentowali, honorowani byli w bardziej konkretny sposób. Miasto zwycięzcy olimpijskiego mogło nawet zburzyć fragment murów obronnych dla zamanifestowania swojej przewagi nad innymi.

Starożytny Rzym to już epoka sportu jako masowej rozrywki, a najpopularniejszymi dyscyplinami były walki gladiatorów i wyścigi rydwanów. Analogie między zawodami rzymskikmi a współczesnymi są tak wyraźne, że aż momentami zaskakują. Fakty, że walki gladiatorów były sędziowane, czasem przez więcej niż jednego rozjemcę, że tylko niektóre kończyły się śmiercią jednego z walczących, a gladiatorzy i woźnice rydwanów stawali się hojnie opłacanymi bożyszczami tłumów, są już powszechnie znane. Mniej znane są natomiast wpływy – i to czasem całkiem bezpośrednie – sportu na życie polityczne.

Cesarz Kommodus (ur. 161 r.) miał wszystko, co mogło go uczynić wielkim, kochanym i podziwianym przez historię władcą imperium. Po jednym z najlepszych cesarzy imperium, Marku Aureliuszu, odziedziczył kraj dostatni i skonsolidowany. Nie toczył żadnych wojen (co można mu zapisać na plus), bo zajęty był zupełnie czymś innym. Normą było, że władcy i inni dostojnicy organizowali trwające nierzadko wiele dni walki gladiatorów po to, by zyskać sobie przychylność ludu. Kommodus uczynił z widowisk nie tylko element wsparcia dla swojej polityki, ale jej główny element.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Widowiska trwały niemal bez przerwy, pochłaniając olbrzymie pieniądze z cesarskiego skarbca. Gdy tych zaczęło brakować, uciekał się do zabójstw i sfingowanych procesów, byle zagarnąć majątki swoich ofiar.

Wreszcie Kommodus pozazdrościł sławy gladiatorom i postanowił sam występować na arenie. Oczywiście nie mógł przegrywać, dlatego jego rywalami były przebrane za boginki kobiety lub kaleki udające przeróżne legendarne stwory. Sam zwykł wychodzić na piasek areny w stroju niezwyciężonego Herkulesa. Obywatele zrazu przyglądali się temu z zainteresowaniem, gdy jednak cesarskie brewerie opustoszyły państwowy skarb tak bardzo, że nastąpił kryzys gospodarczy, los Kommodusa był przesądzony. Zamordowano go w wyniku spisku zorganizowanego przez przywódcę straży przybocznej (pretorian) Letusa i jego ulubioną nałożnicę Marcję.

Mówią, że historia jest nauczycielką życia. Współcześni politycy powinni więc wiedzieć, że zakochany w sobie Kommodus zmieniał terminy geograficzne (za jego rządów Rzym nazwano Colonia Commodiana) i wymagał oddawania swojej osobie czci boskiej. Po śmierci uznany został cesarzem wyklętym, a Rzym wrócił do nazwy Rzym.

Bójki między kibicami nie są czymś nowym. W starożytnym Rzymie wyścigi rydwanów były popularniejsze nawet niż walki gladiatorów. Występujący w Circus Maximus woźnica Gajusz Diokles stał się najbogatszym sportowcem starożytności, a po przeliczeniu ówczesnej waluty na obecną być może wszech czasów.

Kibicowanie po bizantyjsku

Kibice wyścigów rydwanów mieli swoje barwy (niebieskie, czerwone, zielone, białe) i zrzeszeni byli w czymś w rodzaju dzisiejszych klubów kibiców i to tych najbardziej fanatycznych. Często włączali się w spory polityczne, społeczne, popierali swoich kandydatów na wybieralne urzędy, niszczyli nielubianych – znów nic dla nas nadzwyczajnego.

Cesarstwo Wschodniorzymskie ze stolicą w Konstantynopolu przetrwało upadek starożytnego Rzymu i kontynuowało jego politykę społeczną, włącznie z organizowaniem wyścigów rydwanów.

Bójki między stronnikami poszczególnych stronnictw doszły już do takiego etapu, iż ginęli w nich ludzie. Nic to, że cesarstwo było bezpośrednio zagrożone przez Persów. Kibica te sprawy nie interesują. Władze postanowiły interweniować. Winnych starcia między „Zielonymi", a „Niebieskimi" odszukano, kilku z rozkazu cesarza Justyniana powieszono. Wówczas rozpoczął się bunt, nazwany przez historyków powstaniem Nika, od okrzyku „Nika" (czyli „zwyciężaj"), którym zagrzewali się do boju historyczni kibole. Stronnikom „Niebieskich" i „Zielonych" wydawało się, że walczą o swoje stajnie i swoich towarzyszy, a w rzeczywistości inicjatorami rozruchów byli senatorowie niezadowoleni z polityki, zwłaszcza podatkowej, prowadzonej przez cesarza Justyniana. Pseudokibica łatwo wykorzystać dla swoich politycznych celów. Znów niczego nowego współcześni nie odkryli.

Justynian już prawie skapitulował, szykował się do ucieczki, ale odwiodła go od tego żona, cesarzowa Teodora. Jej słowa weszły do kanonu politycznych powiedzeń: „Jeśli chcesz uciekać, mój mężu, nic prostszego. Ja wolę stare przysłowie: purpura jest najlepszym całunem".

Słowa cesarzowej Teodory podziałały. Justynian zarzucił plan ucieczki i wraz z wiernymi politykami oraz służącymi przygotował chytry plan zwycięstwa. Nie bez znaczenia był worek złota wręczony „Niebieskim", którym przypomniano przy okazji, że cesarz zawsze kibicował ich stronnictwu. „Zieloni" byli zdezorientowani i kiedy wkroczyła armia, zostali sromotnie pokonani. Podobno zginęło ich 30 tys.

Znamy hasło wypisywane przez obecnych stadionowych kiboli: „Tusk, matole, twój rząd obalą kibole". Coś mi się zdaje, że do obalenia rządu premiera Donalda Tuska nie będą potrzebni kibole, on sam robi wszystko, żeby sam się obalić.

Jako dziennikarza sportowego przeraża mnie oczywiście coraz jawniejsza i coraz brutalniejsza ingerencja polityki w dziedzinę, którą się zajmuję. To, co zrobił prezydent USA podczas rozgrywanego w jego kraju, Meksyku i Kanadzie mundialu, prezydent europejskiej federacji futbolowej Aleksander Čeferin nazwał przekroczeniem czerwonej linii. Zastanawiam się, czy jakakolwiek czerwona linia jeszcze istnieje.

Pozasportowe wieści są jeszcze bardziej przerażające. W takim nastroju udaję się na urlop nad nasz Bałtyk. Słuchając szumu fal i wylegując się na pięknej, piaszczystej plaży, będę się starał odegnać od siebie wszystkie pesymistyczne myśli i powrócić do pracy pełny optymizmu i miłości do sportu.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 15.07.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl c41309f7b5

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Dokąd lecimy na wakacje? – spytała Urszula Brzezińska-Hołownia, przyglądając się mężowi, który wyglądał jak strusie guano.

– Lecimy? – powtórzył Szymon Hołownia. Jego głos też brzmiał jak ptasie pierdy.

– Tak, lecimy. Lato. Wakacje. Samolot. Hotel. All inclusive. Chyba że mamy inny pomysł…

– Pomysł?

Hołowniowa wkurzyła się nie na żarty. Chciała potrząsnąć ramionami męża, żeby oprzytomniał, gdy zauważyła leżące na nocnym stoliku blistry leku. Sertralina. Sprawdziła w komórce, ki diabeł. Selektywny inhibitor wychwytu serotoniny. Antydepresant.

– Masz depresję? – zapytała z troską w głosie.

– Depresję? – zdziwił się Hołownia.

– Jeżeli tak, to na wakacje pojedziesz do szpitala psychiatrycznego, a my chyba na Mauritius – pomyślała o córkach. – Jakoś damy sobie radę.

Hołownia bezmyślnie wpatrywał się w ścianę. Bał się mrugnąć. Tego, że jeśli przymknie oczy, to już nigdy ich nie otworzy.

– Mauritius? – wymamrotał.

– Albo Seszele – odparła Hołowniowa, sprawdzając w komórce oferty last minute. – Albo Goa. Albo Bali. Albo Bora-Bora. Bo raczej nie Acapulco…

– Acapulco…

– Nie, Acapulco nie. O, mam! – ucieszyła się. – Polinezja Francuska, dwa tygodnie, samotna matka i dwoje dzieci, pięciogwiazdkowy hotel na Tahiti, dwadzieścia kroków do plaży.

– A ja? – pierwszy raz tego ranka Hołownia odezwał się zbornie i w miarę logicznie.

– A ty? – zastanowiła się Hołowniowa, wciąż grzebiąc w komórce. – Instytut Psychiatrii i Neurologii, Warszawa, ulica Jana Trzeciego Sobieskiego dziewięć. Dzwonię.

– Do kogo?

– Najpierw do touroperatora, a potem do doktora. O, zrymowało mi się!

• • •

– Więc mówi pan, że żona i córki na wakacjach, a pan słabo się czuje, co? – Lekarz patrzył na Hołownię jak na strusie guano. – A jak pan będzie głosował w sprawie ograniczenia wynagrodzeń dla lekarzy pracujących na kontraktach?

Hołowni odbiło się Sertraliną. Jedyne o czym marzył, to przymknąć oczy i do jutra ich nie otworzyć.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wróciła z Druskiennik i rusza do Białegostoku. **JOANNA SENYSZYN** nigdzie nie jedzie, za to pogrąża się we wspomnieniach.

Senyszyn: – No i jak było w tych Druskiennikach?

Wołk-Łaniewska: – Cudnie. Robiłam wszystko, co kocham robić w Druskiennikach: pływałam po Niemnie, byłam na koncercie saksofonowym, piłam piña coladę w barze w basenie i za trzy euro kazałam fontannie zagrać „Bella ciao”….

– Chyba musisz rozwinąć.

– Tam jest taka piękna kolorowa fontanna i jak zapłacisz trzy euro, to możesz sobie wybrać muzykę do pokazu „światło, dźwięk i siku sik”. Ja zawsze wybieram „Bella ciao” i cieszę się jak dziecko, że te wszystkie głupki, co podskakują w rytm, nie wiedzą, że to pieśń włoskich komunistycznych partyzantów. Tak to komunizm zakrada się podstępnie w młode dusze. No a poza tym oczywiście jeździłam na nartach…

– Zawsze mnie bawi, jak jeździsz na narty w środku lata.

– Druskienniki są jak Dubaj, tylko lepsze: jest stok narciarski w zamrażarce, za to nie ma szejka, szariatu ani prohibicji. Litwa górą!

– Jak na Litwę jeździsz na narty, to na Podlasie pewnie na plażę?

– A nie, na stróżę.

– Na co, przepraszam?

– Czytam właśnie, zgodnie z zapowiedzią, „Ludową historię Polski”, z której się dowiedziałam, że były najróżniejsze formy pańszczyzny. Jedną z nich była właśnie stróża – czyli pilnowanie pańskiego dobytku. I ja właśnie w tym celu. Będę pilnować domu i psa siostry, a przy okazji cieszyć się pięknem jej ogrodu.

– To akurat rozumiem, cieszenie się pięknem ogrodu to bardzo miłe zajęcie na lato. Oraz tło do wspomnień.

– No właśnie, a jakież to romantyczne wspomnienia aktualnie pielęgnujesz?

– Niedawno minęła 26. rocznica jednego z moich największych triumfów: nie dopuściłam do utworzenia wydziału teologicznego na Uniwersytecie Gdańskim. Czego dokonałam, powiem bez fałszywej skromności, w pojedynkę, choć rękami 20 członków uniwersyteckiego senatu.

– Alleluja!

– A żebyś wiedziała. Odbyłam dziesiątki rozmów z zasiadającymi w uczelnianym senacie profesorami, adiunktami, asystentami, pracownikami administracji i obsługi oraz studentami. Przekonywałam, że teologia nie jest ani nauką, ani nawet wiedzą, gdyż pytania o boga są nienaukowe, a hipotezy teologiczne nieweryfikowalne…

– I co, przekonałaś?

– Studentów nawet nie musiałam, byli entuzjastycznie przeciwni. Bawiło ich, że popsują plany nie tylko abp. Gocłowskiemu, ale i rektorowi, bo chodziły słuchy, że w nagrodę za upodlenie uczelni dostanie jedynkę na gdańskiej liście AWS do sejmu.

– Uczeni chyba też powinni wiedzieć, że teologia nie jest nauką. Nawet krąży po sieci taki mem, który mnie nieodmiennie podnosi na duchu: „Jak czasem czujesz się niepotrzebny i boisz się, że twoje życie nie ma sensu, pomyśl sobie, że są ludzie, którzy mają stopnie naukowe z teologii”…

– I uczeni to oczywiście wiedzą. Ale bali się arcybiskupa Gocłowskiego, który miał być wielkim kanclerzem teologii, więc obiecali, że zagłosują przeciw pod warunkiem, że głosowanie będzie tajne. I tak się też stało – mimo podejmowanych przez rektora wysiłków. Wygraliśmy: senat odrzucił wniosek. Wydziału teologicznego nie ma, choć wszystko było dopięte na ostatni guzik: kadra skompletowana, stanowiska rozdane, siedziba i finansowanie ustalone. Jak odczytałam wynik głosowania, rektor wybiegł z sali, nawet obrad nie zamknął, a potem rozdzwoniły się telefony, gazety rozpisywały się o afroncie dla Kościoła…

– Któryś z prawaków napisał, że „na gdańskim uniwersytecie działa zakamuflowana komórka nieboszczki PZPR”. Byłam z ciebie bardzo dumna, a jeszcze się nawet nie znałyśmy.

– I jeszcze Gocłowski powiedział w kazaniu, że dopuściłam się manipulacji, bo w tajnym głosowaniu człowiek nie może wyrazić swojej prawdziwej opinii. To były piękne dni.

– To się już nie wróci. Dziś już nikt nie boi się Kościoła.

– Boi, boi. Kosiniak-Kamysz na pewno, skoro komisja pod jego przewodem trzeci rok nic nie robi w sprawie obiecanej likwidacji Funduszu Kościelnego będącego reliktem stalinizmu.

– Kosiniak się nie boi, tylko się łasi, bo chce mieć świętą ciotkę. Zmieniając temat: jestem w żałobie po prof. Wiącku…

– Przedwczesnej. Jeszcze żyje…

– No pewnie, on jest ode mnie 10 lat młodszy, nie ma nawet prawa nie żyć. Ale kadencja mu się skończyła. Mam ponure poczucie, że jest to ostatni prawdziwie niezależny prawnik na publicznym stanowisku w Polsce. Absolutne zaprzeczenie obydwojga kandydatów na RPO wystawionych tak przez władzę, jak i opozycję.

– PiS wystawił szefa Klubów „Gazety Polskiej”, który nie tylko nie jest prawnikiem, ale w ogóle ukończył edukację na poziomie technikum mechanicznego, a koalicja – cenioną adwokatkę. Chyba widzisz jakąś różnicę?

– Jakąś widzę – oczywiście, że lepiej mieć na stanowisku RPO prawnika niż mechanika. Choć generalnie było to dotychczas stanowisko zarezerwowane dla profesorów prawa, a co najmniej doktorów habilitowanych. Dwa wyjątki to dr Janusz Kochanowski, który poległ w Smoleńsku i dr Adam Bodnar.

– Bodnar się nieco zrehabilitował, bo się habilitował w trakcie kadencji.

– Prawda. Ale nawet nie o stopnie naukowe mi chodzi, choć uważam je za ważne, bo mam w sobie kult akademii. Wiącek jest moim idolem na tym stanowisku, ponieważ jest absolutnie przezroczysty politycznie, nigdy nie zabiera głosu w sprawach, które nie mają charakteru prawnego. Tymczasem wybrana właśnie mec. Gregorczyk-Abram jest zasłużoną działaczką frontu antypisowskiego…

– Zgadzam się, że nie jest to dobra rekomendacja na stanowisko, które wymaga bezwzględnego, ponadpartyjnego obiektywizmu. Obecna władza popełnia kolosalny błąd, traktując kluczowe stanowiska prawnicze w państwie jako nagrodę dla prawników wojujących z byłą władzą.

– I wiadomo, jak to się skończy – co widzimy na przykładzie Trybunału Konstytucyjnego. A tymczasem można przecież – mówi o tym np. prof. Maciej Gutowski – wybrać profesów prawa o niepodważalnym autorytecie, znanych z pracy naukowej, nie z „walki o praworządność”, czyli działalności z natury swojej politycznej. Rzecznik praw obywatelskich, sędzia Sądu Najwyższego czy Trybunału Konstytucyjnego nie powinien należeć ani do władzy, ani do opozycji.

– Zgoda. I fakt, że PiS wprowadził do TK Piotrowicza i Pawłowicz, nie powinien być dla „strony demokratycznej” drogowskazem.

– À propos „strony demokratycznej”: mam kolejny kamyczek do ogródka twojego euroentuzjazmu.

– Jakżeby inaczej. Dawaj.

– Otóż władcy Europy z Europejskiej Partii Ludowej…

– To ta frakcja, której szefem był Donald Tusk, przypomnijmy. Ma największy klub w PE – 188 członków – i rządzi obecnie w 12 krajach UE.

– Dokładnie. I jako formacja powszechnie rządząca, EPP jest naturalnie entuzjastycznie nastawiona do inwigilacji, m.in. w formie rozwiązania zwanego Chat Control, które pozwala na skanowanie prywatnych rozmów na różnych czatach.

– Czynione pod pretekstem ochrony dzieci przed pornografią. Troska o dzieci pozwala rządzącym na ograniczanie praw obywatelskich na najróżniejsze sposoby.

– Chat Control obowiązywał do kwietnia. W marcu Parlament Europejski odrzucił wniosek KE o przedłużenie go do 2028 r. A w zeszłym tygodniu, rzutem na taśmę przed wakacjami, szefowa PE Roberta Metsola – z EPP, a jakże – przepchnęła drugie czytanie w ramach „pilnej potrzeby legislacyjnej”. Parlament znowu zagłosował przeciw – przewagą 314 do 276 głosów – ale Metsola tak wykręciła proceduralnego kota ogonem, że do odrzucenia potrzebna była większość bezwzględna, czyli 361 głosów. Czyli parlament zagłosował przeciw, a komisja i tak dostała to, co chciała. Tak właśnie wygląda demokracja w UE.

– A niby gdzie wygląda lepiej? Wszędzie jak zza krzaka.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl



Ilustr. PAWEŁ FERENC

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl c41309f7b5